W numerze: 28 ilustracji oraz Edmunda Osmańczyka „Sylwetki współczesnych polityków niemieckich"

CENA 15 ZŁ
(WRAZ Z CEGIEŁKĄ NA DOM SŁOWA POLSKIEGO)

CZYTELNIK

Odra

Tygodnik

Odra jest rzeką politycznej koncepcji Polski Piastowskiej.
Józef Kisielewski: „Ziemia gromadzi prochy"

Biblioteka Uniwersytetu Gdańskiego
02015

NUMER 17 (74) KATOWICE — WROCŁAW — SZCZECIN, DNIA 27 KWIETNIA 1947 ROK ROK III

ANNA SEGHERS

NIEWINNI

Kiedy wielka wojna zakończyła się nareszcie klęską, ogromne połacie Europy zamieniając w pustynię i zabijając więcej niż trzydzieści milionów ludzi, do Niemiec udała się delegacja oficerów w celu aresztowania i przesłuchania winowajców wojennych. Oficerowie przybyli naprzód do pewnej wsi. Miejscowy burmistrz zeszłej jeszcze jesieni skierowywał, ustawionych na rynku pojmanych mężczyzn i kobiety, do przymusowej pracy. Teraz zaś powiedział:

— Moi panowie, dlaczegóż napadacie właśnie na mnie? Akurat na mnie, który nigdy nie był nazistą? Przez to właśnie musiałem się mieć na baczności. Przy każdej okazji próbowano mnie się pozbyć. Grożono mi obozem koncentracyjnym. Tej zimy musiałem zagwarantować, że tyle a tyle hektarów przeznaczam na wyżywienie armii. Wieś moja musiała także za to poręczyć. W przeciwnym razie aresztowano by nie tylko mnie, lecz i każdego poszczególnego chłopa. Nie mogłem zatem nic innego uczynić, jak tylko nająć do roboty tamtych ludzi.

Spojrzeli oficerowie po sobie. Pojechali samochodem do najbliższego miasta. Wskazano im pokój w jedynym niezniszczonym przez bomby domu. Wywiady doniosły: Pewien fabrykant Hähnisch ma być najważniejszym człowiekiem w mieście. W swojej fabryce sztucznego jedwabiu zatrudniał on wszystkich prawie robotników miasta. W doskonałej komitywie był z najwyższymi komendantami SS. Na skutek jego doniesień urządzano apele i łapanki nie tylko w samej fabryce, lecz także we wszystkich robotniczych dzielnicach. Oficerowie postanowili właśnie poszukać fabrykanta, gdy odezwało się pukanie do drzwi.

Młody, porządnie ubrany pan, stając na baczność, powiedział:

— Panowie pozwolą, że powitam ich ja sam w mo[illegible]ście, ponad to w moim własnym domu. Sztab waszego pułku zajął mój dom. Niema złego, co by na dobre nie wyszło. Cieszę się więc, że mogę powitać tak szanownych gości. — —

— Co proszę? Dlaczego dostarczałem armii Adolfa Hitlera sztucznego jedwabiu, z którego sporządzano spadochrony i inne materiały wojenne? Ależ, moi panowie, ja jestem laikiem. Nie mam żadnych doświadczeń w sprawie zastosowania współczesnej wiedzy. Fabrykowałem sztuczny jedwab wyłącznie na pończochy i odzież. Że podchlebiałem się SS? Ależ, moi panowie, jakże mogłem przechodzić w moim biurze obojętnie obok ludzi, którzy pokazywali mi legitymacje państwowe. Czyż miałem zamknąć przed nimi bramę? To oznaczałoby mniej więcej tyle, co pozbawić wszystkich robotników chleba. Przy każdej rewizji i łapance dygotałem ze strachu, żeby tylko nie znaleziono broń Boże czegoś, co by nas wszystkich wydatnie obciążyło. Mogli byli przecież łatwo przeczuć, że od dawna w tajnej głębi serca nastawiony byłem przeciw nazistowskiemu państwu.

Zamilkli oficerowie. Pojechali zaraz do wielkiego miasta przed strzeżony już przez żołnierzy dom słynnego fabrykanta amunicji.

Był to już stary człowiek. Siedział samotny i smutny.

— Wybaczcie panowie staremu człowiekowi, że nie mogę was w należyty sposób powitać. Przyjście panów raduje mnie niezmiernie. Moje wszystkie starania od dawna idą w tym kierunku, by z majątku mego własnego nasi dobrzy robotnicy zapewnioną mieli pomoc, aby przez działanie złych czasów nie musieli cierpieć zawiele ci biedacy. Potrzebuję waszej rady. Po hitlerowskiej epoce zbrodni mało jest u nas demokratycznych duchów, które by umiały dać prawdziwe wytłumaczenie na nowe pytania natury socjalnej. Całą moją nadzieję pokładam zatem w panów wizycie, spodziewam się bowiem, że panowie postaracie się u swych rządów, by moje przedsiębiorstwo [illegible] było do fabrykacji waszych artykułów codziennego użytku. Wyglądałoby to wszak na prawdziwe marnotrawstwo, gdyby niezniszczone ważne części fabryki leżały bezużyteczne. Już kiedyś próbowałem zainteresować moich inżynierów fabrykacją maszyn do szycia. Tymczasem ku mojej wielkiej przykrości i rozpaczy wykorzystywano moje zakłady do fabrykacji materiału wojennego. Byłem i jestem z całego serca przeciwko rządowi, który w ten bezprzykładny sposób nieustannie wykorzystywał najlepsze siły narodu.

Następnie pojechali oficerowie do sąsiedniego miasta, w którym właśnie aresztowano generała, komendanta całej prowincji, słynącej z wielkich obozów koncentracyjnych.

Generał podrażniony skoczył na równe nogi.

— Panowie jako oficerowie zwycięskich armii macie z pewnością więcej okazji ode mnie, by przemawiać do mojego zwyciężonego narodu. Proszę panów zatem, wytłumaczcie mojemu narodowi, by się nie pospolitował z tymi parobkami kata, od których ja sam odwracam się z oburzeniem i wstrętem. Pewnie, od dawna już przeczuwałem co się w tych obozach śmierci dzieje. Dniem i nocą czułem słodkawy trupi zapach, dochodzący aż do zamku, w którym znajdowała się najwyższa komenda. Kiedy jednak kazałem zbadać przyczyny tego zapachu, odpowiedziano mi grubiańsko, że to nie należy do moich kompetencji, lecz do zadań administracji cywilnej. Protestuję tu uroczyście przeciwko podziałowi obowiązków między administrację cywilną a wojskową! Ten system zapłaciło się klęską nazistów. Jeśli o mnie chodzi to od dawna oponowałem przeciw takiemu dzieleniu obowiązków. W nim widzę główny powód rozkładu reżimu hitlerowskiego, z którym nigdy, nigdy, nigdy się nie identyfikowałem!

Anna Seghers należy do najciekawszych zjawisk współczesnej literatury niemieckiej. Debiutowała jeszcze przed rokiem 1933 rewolucyjną powieścią pt. „Powstanie rybaków z St. Barbara", za którą otrzymała nagrodę literacką im. Kleista. W r. 1933 udaje się na emigrację, zrazu do Pragi, gdzie jest współredaktorką „Neue Deutsche Blätter", organu niemieckich emigrantów, później zaś do Meksyku, gdzie przebywa aż do końca roku 1946. W Meksyku prócz redagowania pisma niemieckiego oddaje się dalszej pracy literackiej i tu powstaje jej najlepsza książka „Siódmy krzyż", historia ucieczki z obozu. „Siódmy krzyż" z książek pisarzy emigracji niemieckiej najlepiej i najwnikliwiej osądza zbrodniczą atmosferę Niemiec a przez swe walory artystyczne wart jest także przełożenia na język polski. Przed niedawnym czasem Anna Seghers wróciła do Niemiec.

Zamieszczone poniżej opowiadanie jest wyśmienitą satyrą na niemieckie poczucie winy, niemiecką moralność, przekrojem przez wszystkie prawie warstwy narodu niemieckiego. Gdyby postacie tu przedstawione nie były tak prawdziwe, może moglibyśmy się nawet uśmiechać przy czytaniu tej fantazji, wysnutej z dna prawdy. Ale tak uśmiech nasz zamienia się w zadumę, zdumienie i grozę. Anna Seghers ukazuje nam bowiem przedstawicieli narodu, który zatracił wszelkie normalne proporcje ludzkie. Rzecz, choć napisana po literacku i do jednego z rodzajów literatury należąca, jest właściwie doskonałym artykułem politycznym.

Na to rozkazali oficerowie, by przyprowadzono komendanta obozu śmierci. Od razu sprawił im niespodziankę swoim wyglądem: b. najmniej nie był podobny do siepacza, lecz był to postawny, starannie wygolony mężczyzna w średnim wieku.

Moi panowie — rzekł — byłem wprawdzie komendantem tego obozu, ale nikt chyba nie czuje się spowodu jego rozwiązania szczęśliwszym odemnie, nawet zwolnieni stąd więźniowie. Na rozkaz Führera przydzielano mi miesięcznie pewną większą ilość więźniów z rozkazem ich likwidacji. Nie potrzebuję chyba panów zapewniać, że każdy inny urząd byłby mi stokroć milszy. Skoro jednak raz już nałożono na mnie te wstrętne obowiązki, byłem przynajmniej wdzięczny z całego serca nauce, za to, że wynalazła środki, które umożliwiły mi sprostanie nałożonemu na mnie zadaniu. Jeślibym nie wypełnił rozkazu, to, pomijając skutki osobiste osadzono by tu kogo innego, który śmierć nieszczęśliwych odwlekałby w nieskończoność, czekanie przedłużając niepojętymi cierpieniami. A skoro im raz już śmierć była pisana, której wyrokowanie przecież nie należało do mnie, cóż miałem potem uczynić, jak nie obdzielić drobnymi pozostałościami po zmarłych moje biedę klepiące dzieci. Rzecz jasna, że każdy z tych rozkazów nienawidziłem jak nienawidziłem ową całą bandę nazistów. W to proszę nie wątpić.

Po tych słowach oficerowie pojechali do twierdzy, w której pilnowano najwyższego komendanta miejscowej prowincji. Był to przystojny młody człowiek, podniecony tylko i blady przez aresztowanie.

— Bogu dzięki moi panowie, że nareszcie was widzę. Nareszcie lżej będzie mi na sercu, nareszcie porozmawiać mogę jak mężczyzna z mężczyzną. Urząd gubernatora tej szatańskiej prowincji uzyskałem od tak zwanego Führera jako odznaczenie za zasługi. I właśnie w prowincji mojej urządzono owe obozy. Właśnie w mojej prowincji uwito te gniazda buntu, siedliska dzikiej rozpaczy, właśnie w tej jednej strefie, która mogła się stać bezpiecznym, spokojnym zapleczem. Panowie pojmują mój tragizm. Na mnie zaś spoczywała odpowiedzialność za ucieczki, zbiegowiska i niepokoje wśród ludności. Możecie mi wierzyć, że z całego serca byłem przeciw rządowi, który jako odznaczenie nakłada na człowieka tak nieznośną odpowiedzialność. Jeśli panowie jako oficerowie uprzytomnią sobie ten brak sumienia, to nie zdziwią się, że na długo przed tą miłą wizytą odsunąłem się od reżimu.

Zaraz potem dobiegła oficerów wieść o niezwykle ważnym połowie. Złapano ministra Rzeszy. Trzyma się go w pałacu, należącym do sztabu generalnego. Pałac podlegał cernowaniu, a na każdym stopniu schodów stał podwójny posterunek. Sala była pod tak gęstą strażą, że od razu czuło się, jakiego tu dostojnika aresztowano. Oficerowie stanęli przed aresztantem, który podniósł się niedbale.

— Wiem — powiedział — kto dziś byłby najwięcej szczęśliwy, gdyby mógł dowiedzieć się, że tej jeszcze nocy opuszczę nareszcie Niemcy: mój Führer, jak musiałem tego człowieka tytułować. Zawsze spoglądał na mnie ze złością, nie będąc pewny czy go nie wyszydzam w swym duchu. Rok za rokiem wymyślał coraz to inne środki, by mnie się pozbyć z kraju. Czasem wymyślał w tym celu proste zaproszenia na polowania, czasem misje dyplomatyczne, ale nie brak było także brutalnych oskarżeń. Między nami mówiąc, moi koledzy, niektóre oskarżenia były nawet prawdziwe. Możecie mi wierzyć, że próbowałem wszelkich środków, by zachwiać tym rządem, który był dla mnie prawdziwą solą w oku. Ale Hitler był twardy jak skóra niedźwiedza. Nie można było doń przystąpić ani z intrygą ani z mądrze przygotowaną plotką. Między nami mówiąc, również i z zamachem trudno było zbliżyć się doń. Ja byłem ostatni, który musiał wiać. Proszę mi wierzyć, że ostatni rok był dla mnie niczym innym jak jedną wielką ucieczką, czystą emigracją, co prawda wewnątrz Niemiec. W końcu byłem dla Führera do tego stopnia podejrzany, że pewnej nocy obstawił mój zameczek myśliwski oddziałami SS. Miałem jednak śmiałych przyjaciół w SS i ci umożliwili mi ucieczkę. Ale jeszcze za mną pchnięto pogonie. Mogę więc mówić o prawdziwym szczęściu, że znalazłem się właśnie tu w waszym pałacu. Tu nareszcie jestem bezpieczny, w sercu waszego sztabu generalnego.

Umilkli oficerowie, zadumali się. Z zadumy wyrwał ich nagły okrzyk. W jednym z miast Rzeszy odkryto samego Hitlera! Oficerowie pobiegli do aut i popędzili na wskazane miejsce.

Mały zmierzwiony człowiek, gestykulujący żywo w pierścieniu żelaznych straży, był bez wątpienia Hitlerem. Trup, którego dotąd uważano za nieżyjącego Hitlera, był zatem mistyfikacją. Prawdziwy Hitler w międzyczasie ukrył się w jednej z piwnic między nielicznymi Żydami, którzy zdołali ujść śmierci. Nalepił sobie pejsy i brodę a do tego ogromny zakrzywiony nos. Żydom w piwnicy wydał się podejrzany, gdyż nie mogli odgadnąć pochodzenia obcego, a takich oznak rasowych nie widziało się w Niemczech od czasów Streichera nawet na ilustracjach. Hitler zaś wymachiwał rękami i krzyczał:

— W jaki sposób ci panowie doszli do wniosku, że to akurat ja jestem winien?! Nigdy nie myślałem o niczym innym jak o pokoju świata. Najwyżej jeszcze domagałem się trochę więcej przestrzeni, która należała się zdrowemu, ściśnionemu narodowi. Moje żądanie pokoju obróciła w niwecz pycha i ambicja zagranicznych sztabów generalnych i mojego własnego sztabu generalnego. Ja zaś, ja moi panowie, nie mam nic wspólnego ze sztabami, ja — o czym panowie z pewnością słyszeli — zawsze dumny byłem z tego, że w czasie pierwszej wojny światowej w armii niemieckiej dowalczyłem się tylko stopnia zwykłego frajtra. Zupełnie obce mi są obyczaje wojenne, pielęgnowane i zakorzenione od stuleci w narodzie niemieckim. Ja sam nie jestem Niemcem! Małe, nieznaczne państewko związkowe Brunświk niedawno przecież zaledwie przyznało mi obywatelstwo niemieckie a to tylko dlatego, by zadość uczynić miejscowym prawom. W jaki sposób zatem, moi panowie, ośmielacie się nazywać mnie zbrodniarzem wojennym nr. 1? Gdyby to było ode mnie zależało i od moich chłopięcych tęsknot, to nigdy nie byłbym się tknął broni. Tęsknoty i poczynania mojej własnej młodości płynęły wyłącznie w kierunku sztuki. Uciekłem nawet z domu rodzicielskiego, aby w wiedeńskiej akademii sztuk pięknych uczyć się malarstwa. Głód zmusił mnie jednak wbrew moim wewnętrznym życzeniom do skromniejszego rzemiosła. Nadto — nazwisko moje bynajmniej nie jest Hitler. Moim prawdziwym nazwiskiem rodzinnym jest Schicklgruber. Dlatego stanowczo odrzucam wszelkie obwinienia, gdyż w żadnym wypadku nic mnie nie łączy z owym indywiduum przez panów określonym jako Hitler i jako takim poszukiwanym!

Spolszczył Jacek Brzym

Malarstwo śląskie

Piotr Paweł Pilarski: *Wylew Odry.*

Niemcy a Łużyce

Rys. Prawosz Martinek.

Dobry głos

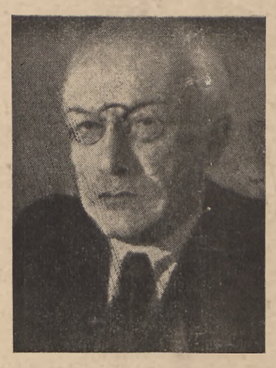

Prof. Zdenek Nejedly.

DOPIERO teraz zaczyna napływać do nas coraz liczniej prasa słowiańska wszelkiego typu, szczególnie czesko-słowacka Dowiadujemy się z niej coraz bardziej rewelacyjnych szczegółów, na podstawie których możemy sobie stworzyć obraz stanu rzeczy, jaki zaistniał na terenach słowiańskich, bezpośrednio po wyzwoleniu ich przez Armię Czerwoną czy też inne wojska sojusznicze, w ciągu pierwszego roku wolności oraz w ostatnim okresie. Jest tam moc ciekawych epizodów, które zasługują na zarejestrowanie jako znamienne przejawy czy to odrębności stanowiska polityczno-społecznego poszczególnych narodów lub grup społecznych, czy też solidarności międzysłowiańskiej, czy też postulatów zbiorowych w odniesieniu do wielu zagadnień słowiańskich dotychczas nie rozwiązanych.

Do takich zagadnień w pierwszym rzędzie należy kwestia łużycka, oraz stosunek do niej poszczególnych narodów i rządów państw słowiańskich, — stosunek, z góry powiedzmy, bardzo niejednolity, przedstawiający szeroki wachlarz nastawień, od najzupełniejszej obojętności i lekceważenia do niecierpliwego entuzjazmu i przebojowych haseł zbiorowej akcji politycznej.

W tej chwili chciałbym zwrócić uwagę na głos jednego z najwybitniejszych uczonych i słowianofilów czeskich, ministra oświaty publicznej i prezesa czeskiego Komitetu Słowiańskiego, prof. dra Zdeńka Nejedlego. Głos ten ani nie padł z trybuny ministerialnej, ani poselskiej, lecz społecznej, obywatelskiej, trzech zjednoczonych w gorącej manifestacji braterstwa narodów: czeskiego, słowackiego i serbo-łużyckiego — z trybuny praskiego Komitetu Słowiańskiego, który jako odnoga i ekspozytura Wszechsłowiańskiego Komitetu w Moskwie ma swoją wielką wagę polityczno-społeczną i moralną, musi też mieć i pewne znaczenie międzynarodowe.

Głos ten padł już dość dawno, bo przed pół rokiem z górą, w sierpniu 1946 r., podczas wielkiej — jakiej oba narody nie przeżywały jeszcze w swych dziejach — tradycyjnej pielgrzymki czesko-słowacko-łużyckiej do miejscowości Vilemov koło Szluknowa, na pograniczu czesko-łużyckim, dokąd prócz niezliczonych rzesz Czechów z ziemi łużyckiej przybyło przeszło 800 Serbów łużyckich, głównie z Górnych, ale także z Dolnych Łużyc. Zjawisko na ziemi polskiej w dzisiejszych naszych stosunkach nie do pomyślenia, wprost wykluczone. Podniosła uroczystość była dziełem „Spolecnosti Pratel Lužice" (Stowarzyszenia Przyjaciół Łużyc) z niezmordowanym działaczem dr. Vlad. Zmeskalem na czele, a opisana została szczegółowo w grudniowym numerze doskonale prowadzonego miesięcznika pt. „Lužickosrbsky Vestnik", wydawanego po czesku w Pradze rok już dwudziesty pierwszy.

Stamtąd to pozwalam sobie zaczerpnąć wiadomość o pielgrzymce czesko-słowacko-łużyckiej i podzielić się z czytelnikami treścią przemówienia prezesa Komitetu Słowiańskiego w Pradze, ministra Zdeńka Nejedlego, w dosłownym brzmieniu streszczenia, jakie pomieścił wspomniany miesięcznik. Podkreślił on przede wszystkim, że zachodzą dwie zasadnicze różnice pomiędzy chwilą obecną a minionymi laty, kiedy podobnie zbierała się na bratnie narady garstka czeskich przyjaciół Łużyc i samych Serbów łużyckich, którym udawało się przedostać przez pilnie strzeżoną granicę niemiecką. „Dzisiaj — powiada prof. Nejedly — mamy międzynarodowe forum, na którym stosunki tak się układają, że po jednej stronie stoi świat słowiański, a po drugiej świat niesłowiański. Chodzi o bezpieczną granicę zachodnią całej Słowiańszczyzny. Chcemy, aby zachodnia granica słowiańska pokrywała się z granicami, które istniały w XII i XIII st., tj. w epoce, kiedy Niemcy zaczęli podbijać połabskich Słowian. To wszystko musi być zwrócone słowiańskiemu światu! To jest naszym celem i my tego celu dopniemy! Musimy mieć pewną granicę od Morza Północnego aż po Triest. Musimy się starać o to, aby o naszych słowiańskich sprawach już nigdy nikt inny nie decydował, jak tylko Słowianie. Swoje słowiańskie kwestie rozstrzygniemy sami między sobą. Doszliśmy do porozumienia z braćmi Polakami. (A było to jeszcze przed podpisaniem Paktu Przyjaźni i Wzajemnej Pomocy! — Uw. aut.) Stoimy twardo przy nowych granicach słowiańskiego świata. I nie będziemy z nikim dyskutować nad tym, że Serbowie Łużyccy należą do tych granic, do tego świata. Sprawa łużycka jest naszą rodzinną sprawą. Musimy pamiętać, że świat patrzy dzisiaj na Słowian zupełnie inaczej, aniżeli do niedawna, kiedy się mówiło tylko o słowiańskiej poezji i dziełach naukowych. Jest to naturalne następstwo epoki, w której przemówiła i słowiańska broń. Fakt ten zaczyna rozumieć i najtępszy Niemiec. Dziś panuje kurs słowiański i zabiegają o nas niejedni. Cena nasza wzrosła, a wraz z nią i zagadnienie łużyckie nabiera swej wagi i rzeczowości. Świat słowiański stoi za Łużycami. Pozycja ich więc jest zupełnie inna, aniżeli była po pierwszej wojnie światowej. Musimy więc dążyć do wewnętrznego wzmocnienia się i utrwalenia, abyśmy wspólnymi siłami dosięgnąć mogli naszych celów. Nie wolno nam narzekać, gdyż wolny człowiek nie narzeka, lecz idzie naprzód i pracą swą i wysiłkiem naprawia to, z czego jest niezadowolony!"

Oto śmiałe, mądre, rzetelne słowa czeskiego uczonego i męża stanu. Bije z nich głębokie przekonanie o sile i walorach zjednoczonej Słowiańszczyzny — niezłomna wiara w zwycięstwo słowiańskiej prawdy — zdecydowana wola upartą pracą i zjednoczonym wysiłkiem dopięcia tego, co pozornie wydaje się słabym ludziom nie do osiągnięcia.

Jakżeż jaskrawo odbijają te słowa od nastrojów, jakie ostatnimi czasy coraz silniej odzywają się u nas w głoszonym i pisanym słowie. „Sprawa łużycka pogrzebana!"... „Łużyczanie sami rezygnują ze swej niepodległości!"... „Łużyce opuszczone przez wszystkich!"... „ZSRR zajmuje stanowisko zupełnego desinteressement w stosunku do Łużyc!"... „Anglia i Ameryka nigdy się nie zgodzą na oswobodzenie Serbów łużyckich!"... „Sprawa łużycka komplikuje tylko zagadnienie naszych granic zachodnich, osłabia stanowisko nasze wobec Związku Narodów Zjednoczonych!"... Takie i tym podobne rozbrzmiewają dzisiaj u nas głosy, jakby już ostatnia wybiła godzina dla tego biednego narodu, jakby Słowiańszczyznie zwycięskiej nie pozostawało nic innego, jak tylko pozostawić tę nieszczęsną ofiarę na pożarcie żarłocznemu wrogowi.

Tak źle na szczęście nie jest. Sprawa łużycka, jak cichy, podskórny nurt rzeczny żłobi sobie coraz szersze koryto, z trudem usuwa przeszkody na drodze do swej wolności, przekonuje do siebie najbardziej sceptycznych pesymistów, zdobywa coraz silniejszą pozycję nie tylko w Pradze i Bratysławie, czy u nas, ale i w Lublanie i Zagrzebiu, w Belgradzie i Sofii, w Moskwie, a nawet w Paryżu, Londynie czy Waszyngtonie i będzie musiała jeszcze wypłynąć na forum międzynarodowe, gdy decydować się będzie ostateczny ustrój wewnętrzny czwartej Rzeszy. Sprawa łużycka, jakkolwiek — ku wstydowi całej Słowiańszczyzny — nie dopuszczoną była na obrady pierwszego po wojnie Kongresu Słowiańskiego w Belgradzie, a delegacja łużycka musiała się zadowolić... „przedpokojem" — w myśl słów ministra Nejedlego — będzie przez samych Słowian rozstrzygnięta i zwyciężyć musi!

Władysław Dobromilski

BIBLIOTEKA INSTYTUTU ZACHODNIEGO W POZNANIU

JAN REYCHMAN

Węgierskie podróże

Podróże cudzoziemców po dawnej Polsce to niewyczerpane źródło informacji o życiu publicznym, obyczajach, wyglądzie miast i wielu innych szczegółach dawnego życia polskiego, które cudzoziemiec lepiej nieraz potrafił podpatrzeć i scharakteryzować. Oddawna też zbierano u nas i tłumaczono dawne relacje podróżników obcych po Polsce. Zebrał tych relacji sporą gromadkę zasłużony Liske, potem sporo interesujących opisów Galicji zebrał w paru swych pracach („*Cudzoziemcy w Galicji*", „*Galiciana*") Schnürr-Pepłowski, do popularnego użytku przeznaczył zbiorek wypisów z obcych podróżników o dawnej Polsce (obecnie właśnie ukazało się nowe jego wydanie) M. Smolarski.

Oprócz znanych, wielokrotnie powtarzanych opisów podróży sporo jest jeszcze zapomnianych relacji podróżniczych, nieznanych z racji języka, w którym były pisane czy też zagubionych po rozmaitych mało znanych wydawnictwach, ale tym niemniej cennych dla poznania obcej opinii o dawnej Polsce. Do tych należą podróże Węgrów po dawnej Polsce.

Marcin Szepsi Csombor

Serię ich zaczyna *Marcin Szepsi Csombor*, protestancki pastor z Koszyc, pochodzący z miasteczka Szepsi, który odbył w r. 1616 podróż po Europie i wydał ją następnie w r. 1620 w Koszycach pt. „*Europica Carietas*" (nowe na dawnym wzorowane wydanie wyszło w Kolozsvárze w r. 1943). Polsce poświęca Szepsi Csombor sporo miejsca. 5 maja 1615 r. wyruszył Csombor z towarzyszami z Szepsi, 30 maja osiągnęli Beskidy. Nasz podróżnik dobrze określa góry graniczne jako Beskidy, zdając sobie sprawę, że stanowią one część Karpat „*które noszą rozmaite nazwy według stanu i rodzaju miejscowego, tam Góra, gdzieindziej Tatra, ówdzie Beskid . . .*" Do Beskidów zbliżali się z wielką obawą, gdyż były one wtedy „*jaskinią wielu zbójców a kresem śmiertelnym dla wielu pobożnych*". Rzeczywiście wpadli na bandę zbójecką jakiegoś Ricko i uwolniwszy się od ich niemiłego towarzystwa podążali „*przez parę ruskich wsi*", *których mieszkania podobne są do mieszkań Wołochów siedmiogrodzkich*". Przybywszy do Polski, Csombor stara się zapoznać z całym krajem i daje jego gruntowny opis. O bogactwach naturalnych mówi: „*Ze wszystkich kopalni kruszcu poza cynkiem żadnych innych nie ma w tym państwie . . . za to jest soli dużo tak gotowanej jak i naturalnej w wielkiej obfitości, z czego królowie mają dochody. Pszenicy, miodu, drzewa, żywicy, owsa, grochu wielka obfitość . . . Wina nie ma nigdzie, tylko to co z zagranicy sprowadzają, z Węgier, Austrii, Hiszpanii, Francji.*"

O narodzie polskim mówi Csombor, że jest „*porywczy, zarozumiały, goniący za ozdobami, nagle wpadający w gniew, rozpustny*", ale przy tym ludzki, litujący się nad biednymi, broniący religii. „*Ubiór mężczyzn, chociaż wpierw różnił się od węgierskiego, to jednak teraz mało się różni, gdyż jak jeden tak i drugi rozkoszują się tureckim przepychem . . .*"

Opis poszczególnych miejscowości Csombor zaczyna od Lipnicy, gdzie trafili na lud zebrany na Zielone Święta i musieli, tak jak Ulisses przy powrocie do Itaki, zatkać sobie uszy, aby nie słyszeć gwaru i pochlebstw, z którymi ludzie do nich pośpieszali. Zakliczyn zastali nasi węgierscy podróżnicy na wpół spalony po pożarze, deszcz zepsuł im jeszcze humor. Miasto Tarnów bardzo się Csomborowi podoba, ale „*wszystkie budynki tylko z drzewa*". Pochlebnie wyraża się o miodzie tutejszym, miło wspomina nocleg u jakiegoś Węgra w Mielcu, o zamku baranowskim pisze, że „*zamek z zabudowaniami na modłę włoską*", ale przyjęto tam naszych Węgrów niezbyt gościnnie. O Sandomierzu, że „*ozdobne miasto z wieloma klasztorami*".

Warszawa, Śląsk, Kraków

Przechodząc do stolicy kraju mówi Csombor, że Warszawa to „*metropolia Mazowsza, ulubione miejsce pobytu królów polskich, piękne miasto nad brzegiem Wisły. Duży zamek i obszerny targ. Jest tam kolegium Jezuitów.*" Z okazji odbywającego się sejmu podziwiać mógł Csombor „*jedwabne i sukienne stroje Polaków, godną postawę polskich żołnierzy pieszych, bogatą uprząż koni, promenady wielkich panów, jazdy pań w karetach o dziwnej formie, bogate towary kupców, drewniane podeszwy zakonników, niezliczone tłumy kobiet . . .*" W Żakroczymiu naszego purytanina zaskoczyła „*nieco duża ilość kobiet nieczystych, które na ulicy prawie że siłą ciągną człowieka do swego bezbożnego procederu*". O Płocku pisze Csombor, że jest to miasto „*z mocnym zamkiem i dwoma klasztorami*". Dalej opisuje miasta Prus. O Toruniu, że to miasto „*pięknym sposobem wybudowane nad brzegiem Wisły w r. 1235, sławne z pięknych budynków i czystych ulic*". Oglądali nasi podróżnicy nagrobek Kopernika. Na bramach Gdańska zwróciły jego uwagę herby: dwa białe krzyże — herb Gdańska i orzeł — herb Polski. Złotymi zgłoskami pod tym wyryte było: „*Optime omnia fiunt quae pro Republicae fiunt*" i „*Civitati haec tua omnium maxime optanda: Pax Concordia, et Libertas*". Pokój, zgoda i wolność . . .

Do opisu ziem polskich włącza Csombor i Śląsk, który uważa za „*jedną z części Polski*", a o Raciborzu mówi, że to jest „*pierwsze piękne miasto Polski*". Przy opisie Śląska zaczepia i o sąsiedni Kraków, pochlebnie wyraża się o jego zabytkach, ale mniej pochlebnie o jego moralności, pisząc, że nie wierzy, „*żeby w Sodomie i Gomorze większa była swoboda niż w Krakowie*". Razi go na ulicach wielka ilość „*bezwstydnych kobiet*". Kraków, będąc blisko Węgier, sprowadza stamtąd wina, które wysyła następnie na Mazowsze, do Prus. Polacy mówią o Krakowie, że „*Si Roma non esset Roma, nostra Cracovia esset Roma*".

Na opisie Krakowa kończy Szepsi Csombor swój opis Polski. Odbywszy podróż po Europie, znów r. 1618 wrócił przez Bochnię i Grzybów do swej węgierskiej ojczyzny.

Peregrynacje Bethlena

Z drugiej połowy XVII wieku mamy inną relację o Polsce podróżnika węgierskiego. Był nim magnat węgierski Mikołaj Bethlen. W r. 1667 odbył on jakąś podróż z misją dyplomatyczną do Francji i wracał przez Amsterdam, Hamburg do Polski, gdzie zawinął do Gdańska, skąd przez Warszawę udał się do Lwowa. O tym mieście pisze, że „*jest to miasto dość znaczne, stolica Rusi polskiej, ale źle umocnione, dominuje nad nim sąsiednia góra*". Udali się stamtąd do Stryja, „*u stóp gór Krapak*", skąd już z eskortą, gdyż tak jak świętobliwy pastor z Szepsi, tak i siedmiogrodzki magnat obawiał się „*zbójców i złodziei, którzy nie oszczędzają ani życia ani kiesy, gdy uprawiają swój proceder bez obawy*", po przez skalistą górę „*Prislop*" przeszli na Węgry, do Wolowego.

W r. 1679 tenże Bethlen towarzyszył misji politycznej, która została wysłana przez księcia siedmiogrodzkiego Apaffiego do króla Polski Jana III Sobieskiego. Króla zastali w Jaworowie, o którym pisze Bethlen, że jest to „*Wersal Polski na pograniczu Rusi*". Sobieski przyjął siedmiogrodzkich emisariuszy w ogrodzie, gdzie był sam. Zapewnił ich o swej życzliwości dla sprawy Siedmiogrodu, ale co do poparcia dyplomatycznego, zastrzegł się, że „*cela nous attire de fort mauvais voisins*".

Druga ojczyzna Rakóczego

Na początku XVIII wieku bawi w Polsce przywódca węgierskiego ruchu wolnościowego Franciszek Rakóczy. Po raz pierwszy był w Polsce po romantycznej ucieczce z austriackiego więzienia pod Wiedniem, gdy po przebyciu w przebraniu całych górnych Węgier znalazł w Polsce schronienie i opiekę. Aby nie zwracać uwagi agentów austriackich, Rakóczy w dalszym ciągu pozostawał w przebraniu, potajemnie spotykał się też z innymi emigrantami węgierskimi jak Bercseny'im i z emisariuszami francuskimi czy magnatami polskimi. Tu, podczas jego pobytu w Polsce, dojrzał też plan powstania zbrojnego przeciw władzy austriackiej, która pozbawiła Węgrów wszystkich swobód. Zajęty rozmowami politycznymi, nie pozostawił Rakóczy w swych pięknych pamiętnikach, poza ciepłymi słowami pod adresem gościnności Polaków, którzy go stale ukrywali przed czujnym okiem ajentów cesarskich, żadnych interesujących opisów Polski. W r. 1703 postanowił wreszcie Rakóczy dać sygnał do powstania i z małą grupką sobie wiernych ludzi ruszył z Drohobycza ku granicy. W Skolem ludność myślała, że jest to jakiś wysłannik wojewody podolskiego, przysłany dla ściągania pieniędzy i nie chciała go przepuścić, ale sytuację uratował miejscowy Żyd, który go poznał. Przybył też przeor sąsiedniego klasztoru ruskiego Kamieński, który znał Rakóczego od „kołyski" i teraz towarzyszył mu do Węgier. Później Rakoczy wysyłał go w misji politycznej do cara Rosji Piotra Wielkiego. Z Klimca zdecydował się przejść Rubikon i na granicy węgierskiej dać sygnał do powstania, które rychło objęło całe Węgry.

Gdy po ośmiu latach ciężkich walk powstanie węgierskie uległo przemocy Austriaków, znów ziemia polska była dla Rakóczego schronieniem. „*Polska była dla Rakóczego drugą ojczyzną*", pisze węgierski historyk, obecny minister informacji Balla w życiorysie Rakóczego w księdze pamiątkowej, wydanej na 200-lecie jego zgonu w 1935 r. Znów więc schronił się do Polski, skąd jeszcze próbował ożywić stygnące ogniki powstania. Tu, w Polsce, też spotkał się dwukrotnie z carem Rosji, Piotrem Wielkim. Udając się na Zachód, przejechał Rakóczy całą Polskę, Wisłą spłynął do Warszawy razem z Eszterházym, Bercsényim, Csákym, Forgácsem. 4 września 1712 r. byli w Warszawie, 9 września w Toruniu. Na początku października, wpierw pod rosyjskim nazwiskiem, potem ukryty pod nazwiskiem hrabiego Szarysza, znalazł się Rakóczy w Gdańsku. Tutaj malował jego słynny portret znany malarz węgierski Manyóki. Towarzysz Rakóczego Adam Szathmáry-Királys opisuje zwiedzany przezeń Gdańsk, zbrojownię, gdzie im pokazano broń i zbroje, oglądali też „*wykutą z pięknego białego marmuru statuę króla polskiego, który Gdańszczanom dał ich swobody*".

Handlarz winem

Z połowy XVIII wieku mamy relację nie żadnego magnata czy męża stanu, ale skromnego szlachcica węgierskiego, handlującego przy okazji winem, Jerzego Horvatha Palocsaya z Pinkócz, który w kwietniu 1760 r. wybrał się przez Homonnę (Humenne) do Sieniawy w Polsce, gdzie miał złożone swoje wino. Dalej razem z winem chciał spłynąć wodą, ale musiał 14 tygodni czekać na wzrost wody na Wiśle. Sporządził przez ten czas stateczek, który kosztował go 34 złote. „*Z pomocą boską wyruszywszy, płynęliśmy statkiem cały miesiąc do miasta zwanego Gdańskiem, gdzie wszystkie beczki trzeba było wyładować.*" W Gdańsku musiał płacić skład za złożenie wina w piwnicy, czekali aż wino się uleży i stanie się lepsze. Część win Horvath dobrze sprzedał, ale część ze stratą, gdyż trafił na trudności ładunkowe i celne w związku z toczącą się wówczas wojną siedmioletnią, między Prusami a koalicją, do której wchodziła i Rosja; jej wojska były też pod Gdańskiem. Od rezydenta rosyjskiego wziął Horvath przepustkę, aby go wałęsający się Kozacy nie czepiali i 20 grudnia, wyruszywszy z Gdańska, przez Toruń, Kraków, udał się na Spisz do Krygu do swej ciotki Emerykowej Draweckiej, zaś 15 lutego 1761 był znów u siebie w domu w Pinkócz.

Mąż światły i uczony

W r. 1796 podjął podróż do Polski szlachcic spiski Grzegorz Berzeviczy z Wielkiej Łomnicy na Spiszu, mąż światły i uczony, ekonomista a przy tym i podróżnik, autor interesujących opisów Tatr, coś jak Staszic czy Steinkeller. Swą podróż do Polski podjął z wyraźnym celem zbadania możliwości zbytu wina węgierskiego w Polsce i ewentualnego spławiania go drogą wodną. 2 sierpnia 1796 r. Berzeviczy był w Krakowie, gdzie stwierdził, że wina austriackie są, a węgierskich władze austriackie nie dopuszczają. Z Krakowa popłynęli Wisłą do Warszawy, zapłaciwszy 6 złotych za nędzną barkę i doznawszy w drodze moc przygód, o mało nie rozbiwszy się, dotarli na 13 sierpnia do Warszawy. Po drodze Berzeviczy notował swoje obserwacje z okolicy, zauważył, że bliżej Warszawy okolice są bardziej leśne i piaszczyste. O Warszawie pisze, że jest to „*mieszanina przepychu azjatyckiego i nędzy*" . . Obok wspaniałych pałaców nędzne lepianki. Jeszcze w mieście sporo było śladów walk sprzed dwóch lat; Berzeviczy oglądał między innymi ruiny pałacu Igelstroma na Miodowej. Warszawa należała wtedy do Prus, ale Berzeviczy stwierdził patriotyczne nastroje mieszkańców, noszących medaliony z podobizną Kościuszki i wierzących w rychłą wolność. Zresztą i wśród Prusaków wyczuwał niezadowolenie z istniejącego stanu rzeczy.

Z Warszawy udał się Berzeviczy do Gdańska, gdzie badał możliwości tego portu i 11 września 1796 wyruszywszy z Gdańska był 17 września w Warszawie, a 2 października wyruszał z Krakowa do domu.

Drugą podróż do Polski przedsięwziął Berzeviczy w r. 1807. Chciał zbadać możliwości spławne Popradu i Dunajca i wykorzystać je jako drogi wodne dla handlu winem. Aby naocznie stwierdzić te możliwości, sam puścił się tratwą w kwietniu 1807 od swego majątku pod Tatrami w dół Popradem. Za Pławcem żegluga była łatwiejsza, ale aż do Sącza mogło na tratwie być tylko 3 ludzi; dopiero poniżej Nowego Sącza można było wiązać trzy tratwy, na które dało by się załadować 20 beczek lub 60 worków. Spław Wisłą był już dużo lżejszy, ale Berzeviczy stwierdził, że lud jest przesądny i unika ich jakby się obawiał. W drodze spotkała naszych pionierów śnieżyca, musieli wyjść na brzeg i szukać noclegu, ale tu ich wciąż prześladował zabobon ludu: w jednej wsi chcieli zarżnąć kurę, ale chłop nie pozwolił, gdyż obawiał się, że mieli oni coś wspólnego z diabłem . . . Mówił, że gdy kiedyś przyjęto we wsi przybyszów, to św. Stanisław wypadł z ram i cała wieś się potem spaliła . . . Poza tym Berzeviczy nie ma niechęci do ludu polskiego, stwierdza, że ludzie są nieźli, lubią pieśni, wesołość.

Na marginesie tej podróży napisał Berzeviczy rozprawę o światowym handlu, w której wskazywał na zainicjowaną przez siebie drogę wodną spod jego majątku w Wielkiej Łomnicy na Węgrzech do Morza Bałtyckiego, która jest najtańszą drogą dla eksportu węgierskich towarów do Rosji, Szwecji i innych krajów Północy.

Wspomnienia zniemczonego żupana

W r. 1802 na łamach wiedeńskiego „Zeitschrift von und für Ungarn" ogłosił zniemczony węgierski arystokrata hrabia Wincenty Batthyány (1772 — 1827), wiceprezes Kamery Nadwornej, żupan Hontu, wrażenia ze swej podróży do Polski. Batthyány zdecydowanie niechętny jest Polakom. Podróż swą odbył poprzez góry i to już daje mu pole do wygłoszenia b. niepochlebnego sądu o góralach. „*Mieszkańcy tych okolic*" — pisze — „*szczególna mieszanina uległości i hardości, głupoty i chytrości, żyją na gołych stokach gór bądź na wąskich przestrzeniach równinnych między nimi . . . Ich zwykłe pożywienie to owies, trochę gryki i b. mało zboża . . . Widziałem ich, jak w karczmie żydowskiej zwinnie tańczyli . . . Jest w tym coś dzikiego, mogą oni lepiej w tym topić wszelkie swe zmartwienia niż my za stołem, zastawionym zdobyczami całego świata . . .*" Zwiedził następnie Batthyány Kraków i Kazimierz. Na Wawelu stwierdził, że „*teraz po schodach, po których kiedyś kroczyli dumni starostowie, oficer prowiantowy każe chłopom nosić worki z mąką*". Wawel był bowiem wtedy zamieniony na wojskowy skład prowiantowy. Batthyány nie ma zresztą pochlebnego zdania o Krakowie, nie podoba mu się miasto, ani jego dorożki. Za to więcej ma względów dla kobiety polskiej, o której pisze, że „*ma ona więcej przyjemnych właściwości niż prawdziwego uroku, więcej sposobów oczy ku sobie pociągać niż skrępować*". Z Krakowa udał się Batthyány do Wieliczki, skąd przez Tarnów do Dukli i na Węgry. Po drodze znów stwierdził, że „*domy i ubiór chłopów mają tutaj ten sam biedny wygląd, który już mnie uderzył przy drodze ze Spisza do Krakowa*". Z Dukli udał się do Bardyjowa, gdzie spotkał domy polskie, o których wytworności nie omieszkał wspomnieć.

Nie ma pióra, które by zdołało to opisać . . .

O ile zniemczony arystokrata z niechęcią pisze o Polakach i Polsce, o tyle miło wspomina nasz naród Antoni Palkövi, autor mało znanego opisu podróży z Lewoczy do Krakowa i z powrotem, umieszczonego w popularnym pisemku „Tarsalkodó" w 1839 r. Autor, rodem z Sajókazan na Górnych Węgrzech, o właściwym nazwisku Palkowicz, był z wykształcenia teologiem, prawnikiem i historykiem, był profesorem, potem księdzem w Lewoczy, skąd odbył wspomnianą podróż do Krakowa. Wyruszył z Lewoczy przez Kieżmark, Starą Wieś Spiską do Nowego Targu. Zaraz za Kieżmarkiem notuje, że „*w dolinie Magury* (to jest na Spiszu Zamagórskim) *silnie daje się odczuć sąsiedztwo Polski. Strój i język ludu są polskie. Lud jest dorodny, wysoki i zdrowy*". Godne podkreślenia jest tu stwierdzenie polskości Zamagórza Spiskiego przez węgierskiego podróżnika, rodem zresztą prawdopodobnie Słowaka w pierwszej połowie XIX wieku. O Nowym Targu notuje Palkowicz, że „*jest on podobny do węgierskich miasteczek, poza kwadratowym rynkiem nie ma w nim nic godnego widoku*". O Myślenicach mówi, że te „*od Nowego Targu dużo są piękniejsze, lud bardziej z ogładą, rynek kwadratowy, a przy nim ulice z trotuarami*". Z Mogilan ujrzał tak wspaniały widok na Kraków i całą okolicę, że „*nie ma pióra, które by zdołało to opisać . . . Podążając wzrokiem wzdłuż gościńca, Kraków, starodawne polskie miasto, występuje przed nami z niezliczonymi wieżami, a tam obok czerwieni się zamek królewski . . .*" W Podgórzu natrafił on na rodaków z Węgier, którzy mu ułatwili otrzymanie przepustki do Krakowa (Podgórze było częścią Austrii, a Kraków był stolicą Rzeczypospolitej Krakowskiej). Zaraz udali się na Wawel, którego opuszczenie sprawiło wrażenie przygnębiające. „*Ten trzypiętrowy kwadratowy budynek stoi smutny i opuszczony jak ruina na szczycie góry. Dawną chwałę tylko nieme ściany strzegą w dumnej pamięci . . . Nieszczęsny naród! Czym był kiedyś i czym się stał . . .*"

Z Krakowa udał się Palkowicz do Wieliczki, Gdowa, Bochni. O zamku w Wiśniczu pisze, że jest „*czworokątny, na podobieństwo zamku w Bratysławie*". Na wsi poczynił szereg obserwacji o życiu chłopa. W chałupie, którą poznał, „*gospodarz sam gotował, piekł i krajał słoninę, a gospodyni piłowała drzewo na ogień*". O stroju ludu z tych okolic pisze, że „*wydatnie różni się on od stroju nowotarżan*". Opisuje pierzyny i poduszki położone jedne na drugich aż po sufit. „*Lud tutejszy zresztą nie jest taki nieokrzesany jak tam, ziemia też jest gładsza i uprawniejsza*". Przez Nowy Sącz, Piwniczną, Lubowlę wrócił Palkowicz do domu.

Z Węgier pochodził też pastor Bredeczky, autor znanego opisu Polski, ale był on narodowości niemieckiej, uważał się za Niemca i ma nawet zasługi na polu organizacji żywiołu niemieckiego w Polsce w pierwszej połowie XIX wieku. Specjalnie był wspominany przez „volksdeutschów" lwowskich, gdyż miał on zasługi dla „gminy niemieckich ewangelików" we Lwowie. Do Polaków nie był zresztą ustosunkowany zdecydowanie niechętnie. Opisy jego głośnej podróży znane są w relacji Schnürr-Pepłowskiego, a ostatnio Smolarskiego.

Jan Reychman.

Perspektywa Odry

Piękno Kaszub. Wioska rybacka Nadole nad jeziorem Żarnowieckim (repr. za pismem „Checz").

Powtarzające się coraz częściej ataki na granice na Odrze i Nysie a wychodzące głównie z kół politycznych anglosaskich, mają swoje źródło w ogólnym międzynarodowym klimacie politycznym, w którym antagonizmy między mocarstwami bynajmniej nie wygasły. Z tego punktu widzenia ataki te moglibyśmy traktować z lekceważeniem jako taktyczne elementy polityki danego mocarstwa. Z chwilą jednak, gdy ataki te, jak to miało miejsce w czasie ostatniego przemówienia moskiewskiego Marshalla od spraw taktycznych przechodzą do nieuzasadnionej zresztą krytyki nie tylko naszych praw ale i stanu naszego zagospodarowania się na Ziemiach Odzyskanych, z chwilą gdy ataki te stają się wymarzoną łatwą pożywką dla niemieckiego rewizjonizmu, będącego zawsze forpocztą nacjonalizmu, — stosunek pewnych zachodnich kół politycznych do naszych Ziem Odzyskanych uznać trzeba za jedną z form prawdziwej podjazdowej wojny.

Społeczeństwo polskie na Ziemiach Odzyskanych obowiązują dwa wielkie przykazania chwili: praca i czujność. Skoro nie przekonywuje zachodnich polityków historyczna waga naszych argumentów, skoro bagatelizują już także czasem argument rekompensacyjny za ziemie wschodnie i ofiary poniesione w wojnie z Niemcami, — przekonać ich musi ogrom pracy włożony i wkładany w zagospodarowanie Ziem Odzyskanych i w trwałe powiązanie ich z Polską. Ziemie Odzyskane muszą stać się w organiźmie gospodarczym i politycznym Europy elementem wybitnie pozytywnym a osiągniemy to przez prac i pokój. Politycy zachodni winni uprzytomnić sobie, że atakami swoimi stwarzają złą atmosferę dla naszej pracy na Ziemiach Odzyskanych. Jeśli rzeczywiście zależy im na tym, jak to często podkreślają, by Ziemie Odzyskane w organiźmie państwowym polskim spełniły tę samą rolę co w niemieckim, to znaczy stały się cennym kółkiem w mechaniźmie gospodarczym Europy, to niezrozumiałe są ich równoczesne ataki na tę naszą pracę.

W takiej atmosferze musimy być mocni wolą. Żadne ataki nie mogą wpłynąć na osłabienie tempa pracy. Jesteśmy przekonani, że ta nasza praca posiada moc przekonywującą. Już wszystko to, co dotychczas zrobiliśmy, jest imponujące. Chodzi tylko o to, by osiągnięcia nasze były w plastyczny sposób ukazane za granicą. Wystawa, którą urządziliśmy w Londynie, jest pierwszym ogniwem tej akcji. Tydzień Ziem Zachodnich dobrze spełnił ten postulat na froncie wewnętrznym. Jeśli politycy zachodni uważają, że dla nich jedynie istotnym argumentem będzie nasza praca i osiągnięta w ten sposób wartość gospodarcza Ziem Odzyskanych, to i ten argument posiadamy już. Szeroka akcja propagandowa za granicą musi się zająć ukazywaniem go w rozmaitych jego aspektach, gospodarczym, politycznym i kulturalnym.

Paweł Kupke.

●

FRANCISZEK FENIKOWSKI

Zachodnia wiosna

Wiosna, polska Wiosna na ziemi zachodniej,
idzie w blasku bzami płonących pochodni.
Śpiewają jej lipy — czarnolaskie panny,
głogi ją witają, wierzby i dziewanny.
Idzie w polskim hełmie, w łuny bitw spowita,
niebo chyli nad nią sztandar Świętowita.
A przed nią od morza aż po Karkonosze
apel obębniają dzięcioły — dobosze:
Zbudźcie się, wróćcie w imię Swarożyca:
niech znów się drogami snuje południca;
Niech w mazurskich chatach stąpają po cichu
kłobuki zza piecy, uboża ze strychu.
Zbudźcie się wróćcie w imię Swarożyca:
niech wodnik się światłem miesiąca nasyca.
Chcę, aby na łęgi odrzańskie wróciła
słowiańska poezja — pląsająca wiła.
Idzie Wiosna w wichrze, jak w chorągwi szmerze,
za nią idą nasi oracze — żołnierze.
Od pagórków Kłodzka do równin Lęborka
idą w wielkim szturmie jak wiosenna orka.
Nie dojrzeć tu z dali oczyma poety,
czy w rękach ich błyszczą pługi czy bagnety.
Idą polską wiosną w śmiałej tyralierce
szturmować tej ziemi roztesknione serce!

(Z tomu poezji wydanego wspólnie z Leszkiem Golińskim „Odra szumi po polsku".)

Przegląd prasy niemieckiej

Die Weltbühne

Zeitschrift für Politik Kunst Wirtschaft

Berlin (str. sowiecka).

Najnowszym modnym zdaniem reakcji jest to: „Nazwisko moje jest Hase, ale ja nie istnieję w ogóle. Co? Pan wątpi? Ja nie istniałem nigdy zresztą także i przed 1933 — oto pisemny dowód." I podaje nam się gazetę berlińską, w której to udowodniono. Szczególni fachowcy udowadniają tu „socjologicznie", że reakcja niemiecka z jej ekonomicznymi pozycjami władzy to nic innego jak wynalezione przez marksistów straszydło. Według nich zatem Niemcy od lat co najmniej dwudziestupięciu są krajem bez różnic klasowych, „bo żadnych klas już nie było" . . .

Przekonuje nas się zatem „socjologicznie", że willa Hügel Kruppa i zamek Landsberg Thyssena w ich „mieszczańskim wyposażeniu wnętrza" zupełnie są podobne do mieszkania górnika ruhrskiego lub berlińskiego bezrobotnego, że koncerny i potężne banki Kruppa, Thyssena, Haniela, Flicka, Vöglera, Zangena, Reuscha, Tengelmanna, Stinnesa, Poensgena, von Staussa, Duisberga, von Schnitzlera, Borsiga itd. istniały jedynie w naszej fantazji i że produktem naszych gorączkowych snów jest także Adolf Hitler, obwołany przez tamtych w Stahlhausie w Düsseldorfie „führerem" Niemiec. A ponieważ w myśl tych wywodów bogate banki i koncerny nie istniały już przed 1933, zatem nie istnieją także i dziś — i reakcjonistą jest każdy, kto jak nieboszczyk Don Quijote walczy z wiatrakami.

Kiedy jednak w zimny wieczór wiosenny przecinamy plac Wilhelma od Kaiserhofu do Kancelarii Rzeszy, przekonywują nas zwęglałe kikuty murów i własna nasza chłodna głowa, że minione lat trzynaście nie były żadnym gorączkowym snem. Myślimy wówczas, że początek i koniec niemieckiej i europejskiej tragedii rozegrał się realnie tu między Kaiserhofem, pałacem Hindenburga a bliskim Herrenclubem, i że geografia tego okrutnie zamkniętego koła jest także geografią polityczną winnych socjalnych sił.

Dlatego pragniemy się nadal interesować sprawą upaństwowienia kapitalistycznych monopoli i oddania ich w ręce ludu. Umacniają nas w tym dążeniu wiadomości takie, jak powstanie w Hannowerze dwudziestuczterech organizacji przedsiębiorców handlowych i przemysłowych z wieloma nazistowskimi „führerami gospodarczymi". Jeżeli pod rządami Schlangs-Schöningena wyżywienie w strefie angielskiej podlega ustawicznemu sabotażowi a denazyfikacja napotyka na ogromne nieraz czysto formalne trudności, to stanowi to zupełnie przekonywujący dowód o faktycznych realnych korzyściach przeprowadzonej w strefie sowieckiej reformy rolnej.

Obrońcy monopolistycznej reakcji powołują się na niektóre wypowiedzi Henryka Manna z okresu inflacji. Również i my zakończymy Henrykiem Mannem. Krótko przed śmiercią Hitlera napisał on wezwanie do mieszkańców Berlina, którego ze względów technicznych nie dało się wówczas ogłosić w Niemczech. Wydrukowane ono zostało w meksykańskim piśmie „Freies Deutschland" dnia 9 maja 1945 r. w dniu bezwarunkowej kapitulacji. Henryk Mann pisał:

. . . Zniszczyć sztab generalny? Oczywiście ale tym samym nie odwróci się nowych katastrof. Odebrać junkrom siłę? I to prawda, ale arystokracja i bez tego chyli się ku upadkowi. Wrogiem, w którego macie uderzyć, to przemysłowcy i finansiści. To możecie tylko wy sami uczynić. Nie spocznijcie rychlej, dopóki wszystkie ważne dla życia przedsiębiorstwa nie przejdą z rąk prywatnych na własność publiczną! . . . Mówi się, że ciężki przemysł ma być w przyszłości kontrolowany. Oczywiście, kontrolujcie. Wy sami jednak jesteście kontrolerem wzbudzającym największe zaufanie! Wasze państwo, o ile naturalnie jest ono rzeczywiście wasze.

(Z artykułu Aleksandra Abuscha „W nowej szacie".)

Die Aussprache

Berlin (str. sowiecka.)

W rozdrobnionych federalistycznych Niemczech z trudnością kierować będzie można rozwojem duchowym i obyczajowym tak, by pozwoliło to pewnego dnia przyjąć demokratyczne Niemcy w krąg demokratycznego świata. Wprost przeciwnie, rozbudzi to i pobudzi do żywszego działania te wszystkie siły, które my niemieccy demokraci razem z jednakowo myślącymi ludźmi świata zwalczamy.

Jesteśmy przekonani, że pierwszym warunkiem zdrowego rozwoju są Niemcy zjednoczone z takimi granicami, które narodowi naszemu dają wystarczające możliwości rolnicze i przemysłowe, by z własnej siły rozwinęło się zdolne do życia ciało gospodarcze i ruszył konieczny handel zagraniczny. Tylko takie państwo będzie w stanie zadośćuczynić postulatom reparacji, wynikającym jako obowiązek z winy minionej przeszłości. Tylko w takim państwie działać będą mogły z dobrym skutkiem te siły, których celem jest zdobycie uznania w świecie dla narodu niemieckiego nie przez imperialistyczne wymagania i militarystyczne środki siły, ale przez współpracę nad rozwojem pokoju i ludzkości.

Że niewolne, podzielone i zbiedzone Niemcy także i w sensie kulturalnym byłyby bez znaczenia, o tym przekonywuje nas prawda o paraleli zachodzącej między gospodarczymi możliwościami życia a duchową i artystyczną siłą twórczą.

(Z odezwy Rady Prezydialnej Kulturbundu.)

CDU-MITTEILUNGEN

Frankfurt n. M. (str. ameryk.).

„Śląsk jest obecnie sztuczką pokazową warszawskiego rządu, którą z zadowoleniem prezentuje się cudzoziemcom. Polscy ministrowie chętnie wygłaszają mowy na tej ziemi, tak bogatej w przemysł i gospodarstwa rolne, jak i w światowej sławy uzdrowiska. Specjalne wysiłki czyni się celem osiągnięcia całkowitego wymiecenia niemieckiego elementu. Według ostatnich polskich danych, na Dolnym Śląsku znajduje się jeszcze 150.000 Niemców. Jeśli się ich odtransportuje, jak stwierdzają z ulgą, Śląsk będzie bez reszty polski.

Czy rzeczywiście bez reszty? W rejonie Wałbrzycha do dziś mówi się za dnia po niemiecku. Polsce brak 30.000 górników. Komisarz przesiedleńczy w Wrocławiu skarży się, że zarządcy dóbr zatrzymują tańsze niemieckie siły robocze i oświadczają, że robót rolnych i gospodarczych nie mogliby wykonać. Również w przedsiębiorstwach miejskich znajdują się Niemcy, jako tanie siły pomocnicze. Od dołu więc sabotuje się wydane dyrektywy.

Ponadto, w ostatnich miesiącach stosuje się coraz częściej metodę uznawania Niemców za Polaków. Na obszarze Opola pozostała w ten sposób większa część tubylców, ale i na Dolnym Śląsku w wielu wypadkach zastosowano ten wybieg. Sprawozdawca Reutera pisze, że ani nazwisko, ani wiadomości językowe nie są tu decydujące, ale raczej hasło: „Jeśli Niemiec jest dostatecznie dobry, jest Polakiem". Jeżeli wieloznaczne pojęcie „dobry" zastąpimy przez „pożyteczny", wówczas uzyskamy właściwe naświetlenie sprawy przyznawania narodowości.

Sprawozdawca Reutera uczynił jeszcze jedno ciekawe spostrzeżenie: Śląsk jest dziś polskim, ale nie jest Polską. Dzieli go świat od właściwych polskich terenów. Od 800 lat kroczyły Śląsk i Polska odmiennymi drogami i Ślązacy, nawet jeśli zachowali mowę polską, nie brali zupełnie udziału w przejściach narodu polskiego. Dopiero w drugiej połowie 19 wieku napływowa inteligencja poznańska przyczynia się do uaktywnienia politycznego Górnego Śląska.

Pewien znany polski literat, który przed wojną odwiedził Katowice, wówczas zewnętrznie zupełnie spolszczone, wzbudził poruszenie stwierdzeniem, że miasto to nie ma zupełnie polskiego charakteru. Spostrzeżenia korespondenta Reutera o dzisiejszym Śląsku biegną w tym samym kierunku. Można zmusić Niemców do odejścia, ale nie można zmienić ducha krajobrazu, który ciąży ku Zachodowi i jest obcy jednostronnie wschodnio zorientowanej Polsce, bardziej jeszcze niż przedtem."

(Z artykułu „Polski Śląsk", ujętego w oryginale w ironiczny i sceptyczny cudzysłów. Wypowiedź ta dobitnie potwierdza istnienie nie wygasłej buty oraz szowinizmu niemieckiej myśli politycznej.)

EDMUND OSMAŃCZYK

28 PORTRETÓW

Znajomość współczesnych Niemiec musi się zacząć od znajomości ludzi, którzy życiem niemieckim kierują. Oni wnoszą w życie polityczne Niemiec stare upodobania i metody, oni organizują życie partyjne, administrację, oni będą członkami przyszłego, postanowionego już na konferencji moskiewskiej centralnego rządu niemieckiego. Według ich polityki kształtują się i rozwijają nowe prądy ideowe i kulturalne w Niemczech dzisiejszych. Edmund Osmańczyk w swoich „28 portretach" prezentuje nam najwybitniejsze i największą w tej chwili odgrywające rolę osobistości niemieckiego świata politycznego. Jest to pewnego rodzaju słownik biograficzny niemieckiego świata politycznego. Szczególna wartość tego słownika polega także i na każdorazowym określeniu stosunku danego polityka do granicy na Odrze i Nysie łużyckiej. Wkrótce jako konieczne uzupełnienie drukować będziemy taki sam „podręczny słownik biograficzny" współczesnych niemieckich pracowników kultury.

Ackermann Anton: prawdziwe nazwisko: Eugen Hamisch. Jeden z najwybitniejszych młodych komunistów (ur. 1905), jeden z przywódców SED (socj. partia jedności), od r. 1923 przywódca młodzieży komunistycznej w Saksonii, w r. 1933 kierownik KPD. w Berlinie, później na emigracji. Brał udział w wojnie hiszpańskiej. Od roku 1942 kierownik radiostacji „Freies Deutschland". W maju 1945 wraca z Moskwy. 21 maja 1945 wygłasza w Drezńie pierwsze swe przemówienie: „Ostrzegaliśmy w r. 1932, że kto głosuje na Hitlera, ten wybiera wojnę. Dziś musimy światu pokazać, że Niemcy z hitleryzmem zerwały ostatecznie. Kto jest prawdziwym antyfaszystą, ten stanie do dzieła odbudowy. Do dzieła tego należy wciągnąć wszystkich, którzy gotowi są pracować, nie wyłączając nawet małych PG." (PG — członek partii nacjonalsocjalistycznej). O granicy Odra — Nysa nie lubi mówić, a jeśli, to przeciw . . .

Adenauer Konrad dr. Przywódca chrześcijańsko-demokratycznej unii (CDU) w strefie brytyjskiej, ur. 1877, centrowiec. Do r. 1933 burmistrz Kolonii, uparty, kostyczny, pompatyczny, nie znosi Schumachera i słowa „socjalizm", nienawidzi Piecka i słowa „komunizm", przyjaciel Pferdmengesa (p. pod P) i Marii Sevenich (p. pod S), nie lubi Berlina i swoich mądrzejszych kolegów z CDU. Grozi wojną o Odrę i Nysę. Prowadzi kampanię za niepodpisywaniem traktatu i głosi hasło: „w razie narzucenia nam nowych granic naród niemiecki musi przyjąć postawę nieugiętej trwałej protestacji."

Henry Bernhard: ur. 1896. Dziennikarz i polityk, sekretarz od r. 1911 Związku Przemysłowców, na którego czele stał Gustav Stresemann. Od 1923 do 1929 r. kierownik biur Ministerstwa Spraw Zagranicznych Rzeszy. W 1934 wystąpił ze służby dyplomatycznej, czasy hitlerowskie przeżył jako prywatny urzędnik w Stuttgarcie. Od 1945 r. wydawca „Stuttgarter Zeitung" i „Stuttgarter Nachrichten" oraz jeden z przywódców „Demokratische Volkspartei". Wydał trzytomowe pomnikowe dzieło o Stresemannie (pisma, mowy, komentarze). Duże kontakty z politykami i uczonymi zagranicznymi. Bernhard uważany jest za jednego z najwybitniejszych w Niemczech znawców zagadnień międzynarodowych.

Brüning Heinrich dr: wielokrotny kanclerz Rzeszy do r. 1932. Przywódca Centrum. Od 1933 na emigracji, profesor Uniwersytetu Columbia w Stanach Zjednoczonych, pragnie wrócić do Niemiec. Prowadzi ostatnio kampanię, usprawiedliwiającą Centrum, że dopuściła do władzy Hitlera. Według Brüninga winę ponosi nie naród niemiecki, lecz Anglia i Ameryka, które udzieliły pożyczki Hitlerowi. „W r. 1933 — pisze Brüning, zapas dewiz wystarczał Hitlerowi do lata 1934 r., poczem najdalej do jesieni Hitler musiał upaść. Tymczasem dewaluacja dolara na wiosnę 1933 zmniejszyła zadłużenie Rzeszy, a układ płatniczy angielsko-niemiecki latem 1934 dał Hitlerowi dalszy oddech na szereg lat". W Niemczech w dawnych kołach centrowych istnieje dziś dość duża opozycja przeciwko Brüningowi.

Dibelius, biskup: głowa kościoła ewangelickiego, t. zw. „staropruskiej unii", jeden z pierwszych Niemców, którzy po wojnie zaproszeni zostali do Anglii. Wierzy w odrodzenie narodu niemieckiego przez wychowanie religijne i łagodne warunki pokoju.

Eberhard Fritz dr. Podsekretarz stanu w prezydium rządu Badenii i Wirtembergii, ma za zadanie opracowanie materiału na konferencję pokojową w wypadku zaproszenia Niemiec do udziału w obradach. Socjaldemokrata, który od roku 1938 do 1945 przebywał w Londynie. Szara eminencja SPD, ewentualny kandydat na ministra spraw zagranicznych Niemiec. Umiarkowany, zręczny polityk, przyjaciel Henry Bernharda.

Fechner Max, do r. 1933 członek zarządu partii socjaldemokratycznej, od r. 1946 członek zarządu zjednoczenia w strefie sowieckiej partii komunistycznej i socjaldemokratycznej (SED). Typ trybuna ludowego.

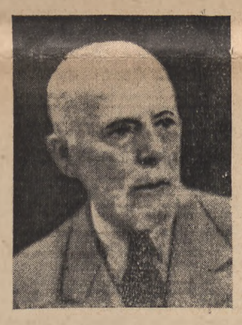

Foerster Friedrich Wilhelm prof. uniwersytetu w Zurychu. Od trzech lat stale przebywa w Nowym Jorku. Najwybitniejszy pacyfista i moralista niemiecki. Urodzony 2. 6. 1869 w Berlinie, syn oficera pruskiego, spokrewniony z rodziną von Moltke. Autor 25 książek, z których najsławniejsze: „Macchiavelli a etyka polityczna", „Szkoła i charakter", „Etyka seksualna". W r. 1896 skazany na trzy miesiące twierdzy za obrazę Wilhelma II, później skazany na banicję jako zdrajca stanu. Przebywa w Szwajcarii, skąd wraca do Niemiec po pierwszej wojnie światowej. Za szerzenie haseł antymilitarystycznych ponownie usunięty z Niemiec w r. 1922 przez . . . Gustawa Stresemanna. W r. 1946 ogłosił słynny artykuł „Odpowiedź Churchillowi", protestujący przeciwko zbyt łagodnej polityce okupantów w stosunku do Niemiec. Postawa Foerstera wywołuje w dzisiejszych Niemczech to samo oburzenie, które ściągnął na siebie za czasów Wilhelma, Stresemanna i Hitlera. W dalszym ciągu powrót do swej ojczyzny ma zamknięty. Indywidualność niezwykle wybitna, klasyczny przykład człowieka, który nie może być prorokiem we własnym kraju.

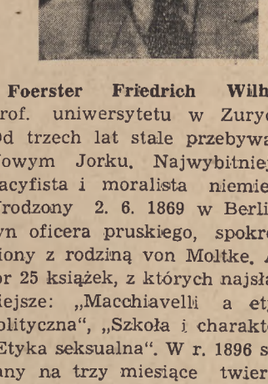

Friedensburg Ferdinand dr. Jeden z przywódców chrześcijańsko-demokratycznej unii (CDU). Urodzony w 1886 w Świdnicy na Śląsku, ekonomista, administrator, do r. 1933 prezydent rejencji (odpowiednik wojewody). Obecnie zastępca burmistrza Berlina, uchodzi w partii za specjalistę od rewizjonistycznej polityki zagranicznej. Oczywiście jest przeciwnikiem granicy Odra — Nysa i wszelkich zmian granicznych na niekorzyść Rzeszy.

Frings dr. kardynał — arcybiskup Kolonii. Prowadzi szeroką propagandę wybielania narodu niemieckiego. W noworocznym (1947) liście pasterskim oświadczył: „Występuję zdecydowanie przeciwko wszystkim tym, którzy uznają winę zbiorową narodu niemieckiego". „Protestuję przeciwko wypędzaniu milionów Niemców z ich ziemi rodzinnej na wschodzie. Mocarstwa zwycięskie winny naprawić czymprędzej wyrządzoną tym Niemcom krzywdę."

Grotewohl Otto, ur. w r. 1889, przewodniczący socjalistycznej partii jedności (SED), stary socjaldemokrata, który rozszedł się z Schumacherem, gdy ten odmówił udziału w zjednoczeniu się partii robotniczych, komunistycznej i socjalistycznej. Grotewohl jest zwolennikiem radykalnych reform społecznych oraz jedności ruchu robotniczego. Przeciwny zmianom granic Niemiec, twierdzi, że w sprawie granicy Odra — Nysa „wierzy w rozsądek zwycięzców."

Högner Wilhelm dr. pierwszy premier rządu bawarskiego (obecnie wicepremier) monachijczyk, który mówi o sobie, że nie jest premierem, lecz gospodarzem w piwiarni „zum bayrischen Loewen". Ur. 1888, od r. 1933 na emigracji, najpierw w Austrii później w Szwajcarii. W partii socjaldemokratycznej konkurent Schumachera, jeden z najwybitniejszych obecnych polityków niemieckich. Zwolennik federacji, entuzjasta demokracji amerykańskiej. „Jestem przeciwnikiem wszelkich amputacji terytorialnych na wschodzie, ponieważ amputacje takie stworzą źródło nowych wojen."

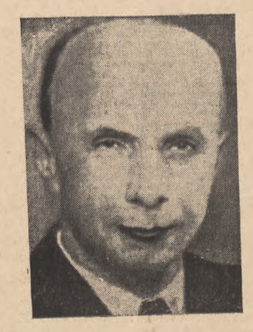

Kaiser Jakob. Przywódca chrześcijańsko-demokratycznej unii w strefie sowieckiej, ur. 1890. Do r. 1933 przywódca chrześcijańskich związków zawodowych. W partii konkurent dr. Adenauera. Lubi słowo „socjalizm" jako odtrutkę na słowo „komunizm". Brał udział w spisku 20 lipca 1944 r. Zwolennik granic Rzeszy z 1941 roku, bezwzględny rzecz prosta, przeciwnik granicy Odra — Nysa. Typowany na premiera centralnego rządu.

Kaller Maksymilian. Do r. 1945 biskup Warmii, osławiony w czasach hitlerowskich likwidowaniem nabożeństw polskich w swojej diecezji. Po ucieczce z cofającą się armią niemiecką, w lecie 1945 powrócił na Warmię i zgłosił się jako Polak, repatriant z zachodu. Wobec zbyt wielkiej ilości dowodów antypolskiej działalności biskupa Kallera, Władze Kościelne przychyliły się do prośby Rządu Polskiego i przeniosły biskupa Kallera do Niemiec, gdzie powierzono mu opiekę duszpasterską nad wysiedlonymi Niemcami w strefach zachodnich. Niestety prowadzi nadal kampanię antypolską, występując z hasłami rewizji granicy Odra — Nysa.

Külz Wilhelm dr. Przywódca partii liberalno-demokratycznej (LDP), ur. 1879, w Republice Weimarskiej 1926/27 minister spraw wewnętrznych Rzeszy, później do r. 1933 burmistrz Drezna. Uwielbia Wilhelma II, Hindenburga i Bismarcka. W r. 1932 kazał skonfiskować w Dreźnie książki Teodora Plivier „Des Kaisers Kuli" i „Der Kaiser ging, die Generäle blieben". Uzasadnienie: „Książki Pliviera są antymilitarystyczne, gloryfikują bowiem bunt żołnierzy w czasie wojny, co jest rzeczą haniebną." Był to rok 1932! Külz jest zwolennikiem państwa narodowego, przeciwnikiem socjalistycznego. W czasie hitlerowskim żył spokojnie z emerytury. Typ kunktatora. Bardzo dostojny. Prusak z krwi i kości.

Markgraf Paul, życiorys według „Voelkischer Beobachter" z 10. 1. 1943: „Porucznik Markgraf, ur. 17. 7. 1916 w Berlinie jako syn urzędnika państwowego, z zawodu czeladnik piekarski, wstąpił w r. 1931 na ochotnika do Reichswery i w 18 pułku piechoty pruskiej rozpoczął zawodową karierę oficerską. W r. 1941 w randze podporucznika przyjęty do korpusu oficerskiego. W r. 1942 porucznik. W walkach pod Stalingradem na czele oddziału broni pancernej z własnej inicjatywy uderzył na nie przyjacielską brygadę kawalerii i zniszczył ją. Odznaczony za to przez Fuehrera krzyżem rycerskim." Od r. 1946 Paul Markgraf jest prezydentem policji niemieckiej.

Müller Josef dr. Przewodniczący chrześcijańsko-społecznej unii (CSU) w Bawarii, syn chłopski z Bawarii. Ur. 1898 r. Zwolennik współpracy stronnictw umiarkowanych z lewicowymi, w okresie hitlerowskim pracował w wywiadzie wojskowm i brał udział w przygotowaniach do zamachu na Hitlera (pucz 20 lipca 1944). Aresztowany, skazany na śmierć, należy do nielicznych spiskowców, którzy cudem uszli z życiem. Zwolennik granic z 1914 roku. W partii swojej niepopularny, ale o dużym autorytecie.

Neumann Franz, Zastępca Schumachera w Berlinie. Robotnik, metalowiec. Przeciwnik zjednoczenia partii komunistycznej z socjalistyczną. Jeden z najaktywniejszych socjaldemokratów (ur. 1905). Demagog. „My socjaldemokraci nie obiecujemy nigdy tego, czego nie jesteśmy w stanie dotrzymać." Obiecuje powrót Nad odrza do IV Rzeszy.

Niemöller Martin, pastor ewangelicki, słynny ze swej nieugiętej postawy wobec Hitlera. W pierwszej wojnie światowej oficer łodzi podwodnych. Typ pryncypialnie pruski. Jedenaście lat spędził w obozie koncentracyjnym. Po wyjściu z obozu przemówienia i kazania Niemöllera stały się powodem demonstracji w Niemczech i Ameryce, dokąd udał się na zaproszenie protestanckiego kościoła amerykańskiego. Powodem demonstracji w Niemczech było bezkompromisowe uznanie winy narodu niemieckiego za zbrodnie II wojny światowej. Powodem demonstracji w Ameryce były chrześcijańskie apele Niemöllera, żądającego, aby świat przebaczył Niemcom i już dziś zaufał narodowi niemieckiemu.

Ostrowski Otto dr. burmistrz miasta Berlina, z pochodzenia Łużyczanin, z przekonań schumacherowski socjaldemokrata, ur. w 1883 roku. Do r. 1933 burmistrz jednego z berlińskich przedmieść. Uważa, że Berlin powinien pozostać stolicą Niemiec, ponieważ jest najważniejszym miastem Europy.

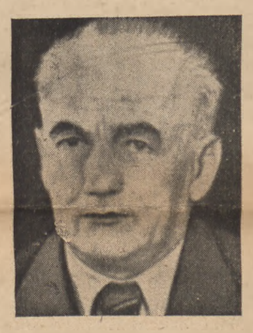

Pieck Wilhelm. 72-letni patriarcha socjalistycznej partii jedności (SED) komunista. Postać historyczna. Ostatni żyjący przywódca rewolucji 1918 roku. Przyjaciel Liebknechta i Róży Luxemburg, trybun ludowy o niezwykłej żywotności. Wielokrotnie cudem ratujący swe życie. Do r. 1933 generalny sekretarz partii komunistycznej Niemiec. Po dojściu do władzy Hitlera, ucieka do Rosji, skąd wraca w maju 1945 roku i odbudowuje starą KPD. Po roku doprowadza do połączenia się w strefie sowieckiej KPD z SPD i tworzy socjalistyczną partię jedności (SED). Pierwszy Niemiec, który publicznie zrezygnował z Wrocławia, aczkolwiek z zastrzeżeniami co do innych ziem. W styczniu 1947 Pieck oświadczył: „Wszyscy pragniemy rewizji naszej obecnej granicy z Polską. Jestem jednak przekonany, że wobec postępu polskiego osadnictwa na tych ziemiach żadne istotne zmiany już nie będą mogły być przeprowadzone. Żywimy jeszcze nadzieję, n. p. co do Świnoujścia i ujścia Odry. Wiemy jednak, że nie ma już żadnej nadziei na powrót Wrocławia, który zamieszkały jest dziś w ogromnej większości przez Polaków. Jestem jednak przekonany, że z Polską demokratyczną, zabezpieczoną przeciwko każdemu przyszłemu niemieckiemu atakowi, demokratyczne Niemcy dojdą do porozumienia w sprawie granic."

Pferdmenges H. Najbogatszy dziś Niemiec, posiadający największy pakiet akcji kluczowego przemysłu niemieckiego, finansista Hitlera, przyjaciel von Papena, jeden z 42 zbrodniarzy wojennych listy „przywódców gospodarczych III Rzeszy". Dotąd nie aresztowany, natomiast pod naciskiem opinii zwolniony przez Anglików z kluczowego stanowiska, które zajmował przez pierwsze osiemnaście powojennych miesięcy, stanowiska prezydenta izby przemysłowo-handlowej w Kolonii. W związku z tym dr. Adenauer (patrz pod A) oświadczył, że „nasza partia (chrześcijańsko-demokratyczna unia) uznała sprawę dr. Pferdmengesa za własną i zwróciła się do najwyższych władz brytyjskich o przywrócenie p. P. stanowiska." W rozbitej Kolonii dr. P. zajmuje ze swoją nieliczną rodziną ogromny pałac o 48 pokojach. Wysiedlonym nie daje schronienia.

Von Preising - Lichtenegg-Moos Graf Konrad, kardynał, biskup Berlina, ur. 1880 w Bawarii, dyplomata, który mając 32 lata rzucił karierę świecką i przyjął święcenia kapłańskie, jeden z najodważniejszych w czasie hitlerowskim dostojników kościoła katolickiego. Do Polaków nastawiony nieprzychylnie. Od r. 1946 duszpasterz Niemców, wysiedlonych ze Śląska. W r. 1947 udał się na zaproszenie kardynała Spellmanna do Stanów Zjednoczonych.

Sauermann Heinz dr. Prof. ekonomii na uniwersytecie w Frankfurcie nad Menem. Wybitny socjolog i demograf niemiecki, jedyny, który nie skompromitował się w czasie hitlerowskim. Od lipca 1945 doradca finansowy amerykańskiego zarządu wojskowego. Zasłynął w roku 1946 swoją niezwykle pesymistyczną oceną potencjału ludnościowego Niemiec. Według obliczeń prof. Sauermanna w przeciągu 50 lat ludność Niemiec zmniejszy się o połowę.

Sevenich Maria. Korpulentna, 50-letnia Egeria chrześcijańsko-demokratycznej unii. Słynna przez swoją 30-dniową głodówkę, rozreklamowaną jako protest przeciwko zbyt niskim racjom żywnościowym w strefie brytyjskiej. Ta sama, która wzywała Niemców do gotowości walki zbrojnej „gdyby mocarstwa uznały granicę Odra — Nysa za ostateczną". W czasie głodówki dr. Adenauer wysłał telegram do M. S. „zaklinający, by zachowała swe siły dla Niemiec i dla CDU". Przeciwniczka Labour - Party. Nienawidzi Stalina. Kocha się w powojennym Churchillu.

Schlange-Schöningen Hans, kierownik centralnego urzędu wyżywienia i rolnictwa w strefie brytyjskiej. Ur. 1886 w Szczecinie. Nacjonalista pruski, minister rolnictwa w rządzie Brüninga, do r. 1933 szef osławionej Osthilfe, otacza się rozparcelowanymi pruskimi junkrami z strefy sowieckiej, lub wysiedlonymi junkrami z Polski. Najbardziej zwalczany przez partie lewicowe w Niemczech człowiek.

Schumacher Kurt dr. „Fuehrer" partii socjaldemokratycznej (SPD). Ur. 13. 10. 1895 r. w Chełmie na Pomorzu. Tamże gimnazjum, uniwersytet w Berlinie (ekonomia i prawo). Praca doktorska: „Historia ruchów robotniczych". W pierwszej wojnie światowej ranny ciężko na froncie wschodnim, amputacja prawej ręki. Po wojnie działacz Związku Inwalidów, urzędnik ministerstwa pracy, później redaktor „Schwäbische Tagwacht", dziennika wychodzącego w Stuttgarcie organu wirtemberskiej partii socjaldemokratycznej. W roku 1924 poseł do Landtagu. W roku 1930 poseł do Reichstagu, gdzie wsławił się dyskusją z Goebbelsem, w której nazwał nacjonalsocjalizm „apelem do najniższych (świńskich) instynktów, tkwiących w duszach ludzkich." W czerwcu 1933 aresztowany, przesiedział 10 lat w obozie w Dachau. Ostatnie dwa lata wojny żył pod nadzorem Gestapo w Hannoverze. W r. 1945 opanował partię socjaldemokratyczną i stanął na jej czele, gdy Otto Grotewohl poszedł na ugodę z komunistami i stworzył z nimi socjalistyczną partię jedności (SED). Typ demagoga, kunktatora bez skrupułów, jeden z najniebezpieczniejszych Niemców współczesnych. Wypowiedzi: „To nie myśmy przegrali wojnę, to III Rzesza." „My Niemcy jesteśmy niewinni, nie karzcie więc nas, lecz pomagajcie nam, dajcie nam żywność, surowce i maszyny i darzcie nas zaufaniem." „W czasach najgorszej krytyki narodu niemieckiego z dumą przyznaję się do mojego narodu. Naród ten, choć zachował się tchórzliwie wobec swych uwodzicieli, — przekonany zresztą jestem, że inne narody w tych samych warunkach tak samo tchórzliwie by postąpiły — naród ten dziś wykazuje wspaniałą postawę i zdobywa się na niebywałe ofiary, ratując swoje dzieci." Gra na nastrojach antysowieckich i antypolskich. Zgrzyta zębami na granicę Odra — Nysa. Przemawiając gestykuluje i wykrzywia grymasami twarz jak Hitler.

Zangen Wilhelm, czołowy kapitalista strefy brytyjskiej, dotychczas nie aresztowany, posiada nadal ogromny wpływ na gospodarkę niemiecką. Do r. 1938 generalny dyrektor Mannesmann Röhrenwerke, poczem mianowany przez Hitlera kierownikiem przemysłu niemieckiego (Reichsgruppe Industrie), był poza Sperrem najważniejszą osobistością w III Rzeszy w sprawach zbrojeniowych.

Edmund Osmańczyk.

Konstanty Prus — nestor pisarzy polskich

W 75 rocznicę urodzin

W dniu 14 kwietnia br. obchodził swe 75 urodziny Konstanty Prus. To mało znane poza Śląskiem nazwisko nosi człowiek, któremu polski ruch narodowy na Górnym Śląsku, śląskie dziennikarstwo i piśmiennictwo zawdzięcza bardzo wiele, który przez swoją kilkudziesięcioletnią działalność pisarską i społeczną położył dla polskości Śląska wybitne zasługi.

Konstanty Prus pochodzi z rolniczej rodziny z Rybnickiego (ur. 14. IV. 1872 w Wielopolu). Początkowo miał pójść drogą obieraną przez większość wytwarzającej się w drugiej połowie XIX w. inteligencji śląskiej pochodzenia ludowego i poświęcić się stanowi duchownemu, udając się w tym celu na studia do Włoch. Konieczność odbycia służby wojskowej wróciła go Śląskowi, gdyż zmienił decyzję życiową i poświęcił się dziennikarstwu, pracując kolejno na różnych stanowiskach w prasie „Katolika", w „Gazecie Opolskiej", „Kurierze Sosnowieckim", „Nowinach Raciborskich". Praca ta przeplatana różnymi procesami prasowymi i od czasu do czasu więzieniem (normalny los ówczesnych dziennikarzy polskich na Śląsku) uległa przerwie w r. 1915 przez służbę wojskową, ale podjął ją Prus jeszcze goręcej w r. 1918 i prowadził aż do pierwszych lat niepodległości, przechodząc następnie na stanowisko archiwariusza Śląskiego Urzędu Wojewódzkiego. Druga dziedzina zasług Konstantego Prusa to czynna działalność społeczno-narodowa przed pierwszą wojną światową oraz w czasie powstań i plebiscytu. Znały go z tej strony liczne organizacje polskie na Górnym Śląsku, a w Polskim Komisariacie Plebiscytowym położył duże zasługi jako kierownik działu druków plebiscytowych i pracownik wydziału prasowego.

Najtrwalsze zasługi dla Śląska położył Prus przez swoją działalność pisarską. Jako dziennikarz przez długie lata pióra prawie z rąk nie wypuszczał, ale przy tym znalazł jeszcze i czas na samodzielne poszukiwania i badanie przeszłości Śląska i piśmiennictwa śląskiego. Bibliografia jego prac osobno wydanych obejmuje 15 pozycji o różnorakim charakterze a wszystkie niemal o pionierskim charakterze. Są tam i broszury polityczno-polemiczne w obronie polskości Śląska, ale tę cechę i tę tendencję nosi wszystko, co wyszło spod jego pióra. Służył Śląskowi i jego polskości odtwarzając jego przeszłość. *(Krótki zarys dziejów Śląska, O pierwszych polskich drukarzach na Śląsku, Świątobliwa Ofka, księżniczka raciborska, Z przeszłości Mikołowa i okolicy)*, kreśląc sylwetki jego pisarzy (obszerna praca monograficzna o *Józefie Lompie*, prace o *Miarce, Piotrze Kołodzieju)*, a wreszcie jako badacz pochodzenia i polskości nazw miejscowości śląskich (opracował z tego punktu widzenia cały Śląsk Górny i Opolski).

W książkach swoich zgromadził moc niezwykle cennego materiału dokumentarnej wartości, który pozostanie kopalnią dla dalszych badaczy. Pisał prosto, nie uczenie, stąd książki jego były na Śląsku popularne i powszechnie czytane. Pisarstwo Konstantego Prusa to dalszy ciąg tej służby narodowej, jaką podjęli tutaj ludzie pióra od czasów Lompy i Miarki, to zarazem poważny wkład w narodowe odrodzenie Śląska. *(zh)*

ALEKSANDER WIDERA

IGŁA

Franciszkowi Olszynce.

Dobruś rozpacz wytężył w bezruchu
leżąc zbity na ciele i duchu.
Na organkach kalfaktor
melodyjnym wciąż taktom
dal podawał i góry i lasy.
Dobruś w jednej minucie
wszystkie myśli odwrócił
od tamtego widoku i czasu.
Miskę zupy jak woda,
którą diabeł mu podał,
wypił dziwnie zachłanny mu sąsiad.
Dobruś jeszcze nie pojął,
czym tu głodzą, czym poją
nieustanne pragnienie i skąpstwo.
Dopiero za niedługo, gdy w ciemności poczuł
pluskwę w ustach, zjedzoną wraz z chlebem,
a nie mogąc się zdobyć na wyplucie, zdjął z oczu
zaślepienie wczorajsze i niebo.

Nietoperze wciąż grozę wywołują swym lotem,
więc na widok błyskawic komendy
przerażeniem podkute nóg zrywają się grzmoty,
ogłupiałe nie wiedząc którędy.
Jedni drugim po głowach, jedni drugim po oczach,
jedni drugim po rękach — po prostu:
byle tylko ominąć, byle tylko uskoczyć,
byle tylko móc uciec przed chłostą.
Jedni drugich w popłochu popychają i depcą
ci z Krakowa i ci z Pacanowa,
z Leningradu, Paryża, Mediolanu, Królewca,
Hagi, Pragi, Brukseli i Kowna.
Otoczyły skazańców mury, kraty i bryły
za rzekome i żadne przestępstwa.
Więc się cały w zdziwienia słup zamieniasz, mój miły,
że w niezgodę urosła ich gęstwa.
Wspólnych wrogów nienawiść uwiklała ich w chaos,
który wściekł się i stał nienawiścią
wobec siebie wzajemną, choć miłością być miało
sprzysiężenie w tej walce i spisku.

Dobrusiowi zapalił się palec
od podkowy czyjegoś buta.
Nie ulżyła mu łza
i nie ulżył mu jęk
ani w bólu pocieszył go smutek.
Płomień rękę mu spalał na popiół,
każde włókno przegryzał dokładnie.
Nie głaskała go noc
i nie głaskał go sen,
bez snu noce znęcały się nad nim.
Gdy już rady nie wiedział niczemu,
wszom i pluskwom się zdał na pożarcie.
Nie litował się nikt,
nie ratował go nikt,
więc całego już ogień miał w garści.
Lecz po długich miesiącach,
po przepastnych miesiącach,
choć nie karmił go nikt
i nie poił go nikt,
uratował od śmierci go czas.

Czas się we znaki dawał wszystkim
na długich ławach dwóch.
Czerwone miski, czerwone miski,
a jedna była na dwóch.
W czerwonych miskach czarna kawa,
a z każdej piło dwóch.
Siedzieli ciasno na długich ławach,
na długich ławach dwóch.

Dobruś lawiną pesymizmu
po stromych doznań rumowisku
w otchłani własnej głąb się staczał.
Aż się zatrzymał o myśl taką
niesamowitą, gorzką w smaku,
lecz ratującą od rozpaczy.
Myśl, która barwy równa z nocą
zdała się nagłą mu pomocą,
ciemność się zdała być promieniem.
Obmyśla Dobruś, jaką korzyść
w czas niepewności dać mu może
siebie samego oślepienie.

Tym, co własnych zgłębiać myśli
nie umieją, nie umieją,
bardziej musi skręcać kiszki
głód.
Stojąc w miejscu zda się płyną
chwile cnym nieszczęśliwcom,
głód jest bowiem ich jedyną
myślą.
Nie buduje w ustach mostu
im do jelit i żołądka
wieczny temat wszystkich rozmów
jadło.
Ale za to w swej prostocie
nie sięgają oni do dna
męki własnej niepewności
wcale.

Dobruś dla głowy swej szalonej
znalazł zajęcie ulubione,
jedyne i najlepsze:
patrzeć oczyma wyobraźni
niepospolicie i odważnie
na siebie jako na ślepca.
Jak pszczoła krąży myśl w nim złota,
że uratuje go ślepota
i nic poza tym nigdy.
Więc jak scholastyk tysiąc diabłów
tak on swój los umieścił nagły
na ostrym końcu igły.

HENRYK WORCELL

O D W E T

II)

GDY sobie teraz przypominał ów sierpniowy dzień, kiedy przybył tu z Genowefą, mimo woli wyobrażał sobie, że byli małymi dziećmi, których dobra wróżka przyprowadziła przed pałac wyczarowany spod ziemi; „podoba się wam, to sobie go weźcie, zamieszkajcie w nim". A oni skinęli głowami i odpowiedzieli, że owszem, pałac się im podoba i zamieszkają w nim. Tak, to było trochę jak w bajce. Bo właściwie, skąd nagle taki dar od losu? Za co, za jakie zasługi? Może za straty materialne ostatnich kilku lat? Nie były znów tak wielkie. Może za cierpienia, jakich doznali w obozach pracy? Też nie były takie okropne, inni stokroć gorsze przeżyli. Więc może to nagroda za tortury innych ludzi, tych co każdego dnia umierali w obozach śmierci? Lub tych co przed wiekami zostali z tych ziem wygnani? Nie, nie umiał na to odpowiedzieć. Czasem tylko przychodziło mu na myśl, że dar może się w przyszłości okazać ciężarem nie do zniesienia, przekleństwem życia. Być może, że papier, który podpisał pewnego sierpniowego dnia w biurach Urzędu Repatriacyjnego, okaże się w przyszłości diabelskim cyrografem. „Będziesz na tej ziemi harował w pocie czoła, a nie będzie ci wolno ani spocząć, ani ziemi się zrzeknąć, ani uciec od niej. Otrzymałeś ją za cierpienia tych, co w torturach niemieckich konali, a utrzymasz ją krwawym potem, dla tych, co po tobie przyjdą. Ty właśnie spłacisz ten dar". Opaliński wiedział, że inni osadnicy też się nad tą sprawą zastanawiają, nigdy jednak z nimi o tym nie rozmawiał. Zresztą osadnicy, z którymi się niemal co dnia stykał, zajęci byli sprawami bardziej konkretnymi.

Gdy przyszedł do sołtysa, roiło się tam od ludzi i dymu tytoniowego. Nie było tam czasu na długie rozmowy, przywitania były krótkie, zapytania i odpowiedzi zwięzłe. W tłumie znanych mu twarzy dojrzał kilku obcych, a tuż za progiem natknął się na porucznika Stopkę, postawnego mężczyznę o twarzy spokojnej, imponującej.

— Dobrze, że pana spotykam — przywitał go Opaliński. — Chciałbym, żeby pan z Kobuzem i Matlakowskim przyszedł jutro do mnie.

— Nie da się, na jutro mamy już wyznaczone dwa domy: Stecińską i Urbana. A Kobuz jedzie jutro do gminy, więc niech go pan zastąpi.

— Dobrze, przyjdę do pana jutro o ósmej. Ale pojutrze na pewno do mnie. Co nowego słychać, mówią coś o wysiedlaniu?

— Na razie nie. Z gminy tylko przyszła wiadomość, że do naszej wsi przyjedzie dziesięć rodzin zza Buga.

— A ci co za jedni? — wskazał Opaliński na obcych.

— Przyjechali dziś i chcą się osiedlić. Spod Tarnowa.

W tej chwili dał się słyszeć podniesiony, wyraźny głos sołtysa:

— Ależ zrozumcie panowie, że tych gospodarstw nie mogę wam dać. Tu dziesięć rodzin zza Buga przyjdzie, oni mają pierwszeństwo. Chcecie, to bierzcie te dwa na Winkeldorfie, albo całkiem w górze wsi.

Opaliński witając się po drodze ze znajomymi dotarł wreszcie do biurka, przy którym siedział sołtys i jego sekretarz.

— Dobrze, żeś przyszedł! — zawołał sołtys.

— A co, znów jaka robota?

— A znów każą spisywać stan pogłowia. I to do jutra w południe musi być gotowy. Przejdź się po wsi.

— Daj spokój, Karol, ja już mam dosyć tego latania, daj komu innemu.

— Stefan, ty już masz wprawę, boś to robił. Weź górę wsi, a ja po południu pójdę na dół i na Winkeldorf. Panie Mikuła — zwrócił się do sekretarza — ma pan już formularz gotowy? To daj go pan Opalińskiemu. Uff... żebyś wiedział, jak mnie łeb boli, wczoraj popiliśmy u piekarza, szkoda, że cię nie było. Aha, wiesz co, weź te ogłoszenia i po drodze poprzybijaj we wsi.. Nic ważnego, zbiórka instrumentów muzycznych. Panie Molenda! Co, nie ma go? To może pan to załatwi, panie Mitręga?

Opaliński schował papiery do teczki i oddalił się od biurka. Przed porucznikiem Stopką stał teraz góral Wiater i prosił go, by z całą komisją przyszedł do jego młyna, bo Niemcy pokryjomu wynoszą rzeczy na przechowanie do sąsiadów.

— A nojgorso, to ta beskurcyjo Elza. Nic nie chce robić, ino po domach łazi, a pod kiecką zawdy coś wynosi.

Opaliński, jako wyznaczony przez gminę członek komisji do kontroli młyna, zapytał Wiatra o jego nowego wspólnika.

— Nima tego drania — odparł zapalczywie Góral — pojechał do Wrocławia. Powiado, że on jest fachowcem i on będzie młyn prowadził, a nie jo. No, będziemy widzieć! Jo tu był piersy i mnie PUR. papiery wydol.

— Panowie obywatele — rozległ się znów głos sołtysa — z takimi sprawami nie przychodźcie do mnie! Ciągle wam tylko Niemcy rzeczy wynoszą. Ja nie będę latał za każdą walizką i z ręki wydzierał. Sami pilnujcie, albo komisję zawołajcie. Tylko was ostrzegam: bić Niemców nie wolno!

— No to i co? Jan nie ma tu nic do gadania. Komendant milicji powiedział wyraźnie, że Janowi wolno tylko tych Niemców bronić, którzy pracują u niego w dominium. I major sowiecki to samo powiedział. W razie czego zatelefonować do niego, to on już sobie z Janem poradzi.

Górna część wsi była wyraźnie oddzielona od dolnej pustą przerwą między budynkami i ciągnęła się wąską, dwukilometrową doliną w głąb lasu. W przeciwieństwie do dolnej części pola tu były nieurodzajne, kamieniste, a w niektórych miejscach tak strome, że nawóz musiano koszami na plecach wynosić. Trafiały się tu jeszcze domy murowane, piętrowe, ale reszta to były drewniane rudery, kryte papą. Lepsze gospodarstwa były już zajęte przez polskich osadników, na tych gorszych siedzieli jeszcze sami Niemcy. Opaliński, który tu nieraz biegał spisując stan zasiewów lub pogłowia, znał każdego osadnika i każdego Niemca z nazwiska. Pierwszy dom, do którego wstąpił, należał do sierżanta Molendy. Sierżanta ani jego żony nie zastał, natomiast spotkał się ze starym Niemcem, Klapperem i młodym Polakiem, znanym we wsi pod imieniem Klaus. Obaj siedzieli w kuchni przy stole i wyraźnie byli sobą znudzeni. Klaus podczas wojny pracował u Klappera jako parobek. Teraz stanowisko jego w tym domu było niewyraźne. Kochał się w córce Klappera i chciał się z nią ożenić, ale nie mógł, czy też nie umiał uzyskać pozwolenia od władz. Osadników przybywających do wsi nienawidził, natomiast Niemców wychwalał, a był na tyle głupi, że otwarcie o tym mówił. Być może, przemawiało przez niego rozgoryczenie. Po zakończeniu wojny, gdy na terenie powiatu zaczął funkcjonować PUR, mógł był, chciaż nieżonaty, z łatwością otrzymać gospodarstwo Klappera na własność, chociażby na tej podstawie, że pracował tu cztery lata podczas wojny. Nie starał się o to. Prawdopodobnie nie wierzył w możliwość opanowania tych terenów przez osadnictwo polskie, a przy tym nie miał odwagi wystąpić wrogo wobec Klappera. I oto został na lodzie; gospodarstwo zajął sierżant Molenda. Teraz Klaus rozżalony na rodaków, kumał się z Niemcami i knuł z nimi jakieś małe szelmostwa — bo do wielkich nie był zdolny. Opaliński szczerze go nie lubił. Nie podobała mu się jego tępa, płaska twarz, wielkie łapy i cała postać jakby naga, pomimo ubrania. „Ot, typowy parobas, który do końca życia niczym innym nie będzie". Ale właściwie człowiek ten niepokoił go z innego jeszcze powodu, mianowicie, obserwował na nim proces zniemczania się. Był pewny, że za rok, za dwa, w warunkach sprzyjających Klaus stałby się Niemcem. Ale dlaczego? Dlaczego tak łatwo się to dokonywało? Na to Opaliński nie umiał sobie jeszcze odpowiedzieć.

Rozłożył formularz na stole i zwrócił się do Klausa:

— Ile tu jest krów?

Klaus wpatrzył się weń tępymi i zarazem chytrymi oczkami. potem spojrzał na Klappera — widocznie kombinował sobie coś w swej tępej głowie.

— No, jakto! — zniecierpliwił się Opaliński. — Nie wiesz pan, ile jest krów w gospodarstwie? Czy mam iść do stajni zobaczyć!

Klaus wzruszył ramionami i wskazał na Niemca:

— A to gadaj pan z nim, mnie to nic nie obchodzi.

— A co was w ogóle obchodzi, pewnie Roza, co? Zmieńcie sobie nazwisko na Klapper, to wam będzie do twarzy.

Zdaje się, że ten gruby przytyk dotarł poprzez tępe czoło do jego świadomości, bo mruknął coś pod nosem i wyszedł z izby.

Opaliński ze starym Niemcem szybko się już dogadał, wypełnił odpowiednie rubryki cyframi i udał się do następnego domu.

Zaledwie otwarł drzwi, w nozdrze jego uderzył zapach samogonu. W sieni było ciepło i parno, pod kotłem palił się ogień, z rurki ciurkała cuchnąca, przeźroczysta ciecz.

— Hej, hej, jest tu kto, czy nie ma!? — zawołał w kierunku bocznych drzwi.

Z jakiegoś ciemnego kąta wyszedł ku niemu mały, niepokaźny człowiek (porucznik Stopka zauważył niegdyś, że wszyscy, którzy pędzą samogon, to kreatury niepokaźne, bez wyrazu, trudne do zapamiętania). Wcale nie wyglądał na zaległonego lub choćby speszonego, zachował się tak, jak gdyby na przykład gotował syrop z buraków.

— Aaa... pan Opaliński. Napije się pan?

— Surowica?

— Nie. Wejdź pan do pokoju. mam tam czyszczoną.

Weszli. Opaliński spróbował jeden kieliszek, drugi.

— Całkiem możliwa. I mocna. Z czego robiona?

— Z żyta.

— Do licha! Jak wy się nie boicie. Jakby tak ktoś doniósł?

— Komu? Milicji? Oni sami trąbią. Ile razy już moją wódkę u piekarza pili. Bezpieka też. No bo co, mają płacić za monopolkę czterysta złotych, to wolą tę za dwieście. Nie, nie — zaprzeczył odsuwając kieliszek — ja nie piję. Ja jak robię, to nigdy nie piję.

— Hm, hm... — Opaliński zamyślił się nad czymś. No dobrze — rzekł wreszcie — a czy pan tu dopiero zaczął pędzić?

— Ho, gdzietam, ja już przed wojną robiłem. Ale wtedy się nie opłacało.

— Hm, to zabawne — rzekł Opaliński jakby do siebie — takie błędne koło. Monopol sprzedaje drogo, to ludzie pędzą bimber i piją, a jak monopol puści taniej, to bimber zniknie, ale za to ludzie będą monopolkę żłopać. Jedyna rada, żeby władza nie chlała. No, gadaj pan, co pan ma, krowę?

— Skądże? zdziwił się gorzelnik — tu nie ma krowy, dwie kozy tylko. Kury? Nawet nie wiem, Niemka wie, ale gdzieś wyszła. Zdaje się, że pięć. Więcej nic, tu pół hektara ziemi.

— Czemuż pan nie wziął większego gospodarstwa?

— A po co się mam babrać w gnoju. Ja sobie i tak dam radę. Napij się pan jeszcze na drogę.

— Nie, już nie chcę. Kto tam mieszka w następnym domu? Aha, Kuschel, zdaje się... Do widzenia.

Teraz praca szła mu szybciej, nigdzie nie zatrzymywał się dłużej, jak na kilka minut. Do niektórych domów wcale nie wstępował, bo wiedział, że prócz niemieckiej biedoty żadnych żywych stworzeń tam nie ma. W miarę jak się zbliżał do końca wsi, droga się zwężała, a las schodził coraz niżej ku zamarzłemu potokowi. Wreszcie za jakimś zakrętem ujrzał ostatni domek, nad którym stare świerki opiekuńczo wyciągały ośnieżone gałęzie. Tu już las zamykał dolinę, potok gubił się gdzieś pod śniegiem i lodem, droga skręcała gdzieś w bok i ginęła wśród pni. Tu się kończyły Ptakowice, wieś zwana dawniej Vogeldorf. Gdyby iść dalej w tym kierunku, można by dojść po sześciu kilometrach do granicy czeskiej.

Opaliński zawrócił ku wsi. Było już po godzinie drugiej, gdy przyszedł do biura sołtysa, ale zastał tam tylko sekretarza Mikułę, wydającego Niemcom kartki na chleb.

— Siadaj pan — rzekł Mikuła podsuwając mu krzesło — co się panu spieszy, pogadamy trochę.

Opaliński poznał, że sekretarz jest pijany i to go zachęciło do pozostania. Właściwie, to nie lubił tego człowieka, raził go jego sposób bycia, jakaś zbytnią poufałość i protekcjonalne traktowanie ludzi, zwłaszcza w stanie nietrzeźwym.

— A co pan ma ciekawego do powiedzenia?

— Ja, ciekawego? Ja, panie dzieju, nic ciekawego nie wiem. Pan tam prędzej coś wie. Napije się pan wódki?

— No... jeśli pan ma.

— Ja? Ja zawsze mam. Kiedy pan nie przyjdzie, to mam. Aufwiedersehen, aufwiedersehen — odpowiedział Niemkom opuszczającym biuro — Kommen Sie Morgen gegen neun Uhr — wstał, otworzył szafę i wyjął dobrze już napoczętą półlitrówkę oraz dwa kieliszki. — Ja, panie dziku, nigdy sobie nie żałuję, tyle mojego, co wypiję. Trzeba używać, póki się da. A co pan myśli, że my tu zostaniemy na stałe?

— Czy ja wiem...?

— Paaanie, wybij pan sobie to z głowy. Pan myśli, że Niemcy stąd pójdą? Dokąd, powiedz mi pan, dokąd?

— Jakto, dokąd? Dalej na zachód, do Saksonii, do Bawarii.

Mikuła cknął rozlewając wódkę poza kieliszek, usiadł i zmarszczonym czołem pochylił się ku Opalińskiemu:

— Ja panu powiem tyle: Anglia i Ameryka nigdy się na to nie zgodzą. Nigdy!

— A Rosja co? Nie ma tu żadnego głosu?

— Hy... to z pana naiwniak, panie dziku. To pan myśli, że Anglią i Ameryka będzie się liczyć z Rosją? A bomba atomowa, to co? Panie, jedna taka bomba więcej zrobi, niż cała sowiecka artyleria. A o rakietach nic pan nie słyszał? Nic? Aaa, widzi pan. No, wypijmy. Pod bombę rakietową. Albo pod rakietę bombową.

Wypili, otarli usta, Mikuła skręcił papierosa i znów się pochylił ku Opalińskiemu:

— Teraz niech pan tylko obserwuje Niemców. Pan myśli, że oni nie wiedzą o tym wszystkim? Wiedzą. I dlatego są pewni, że stąd nie pójdą. Oni się śmieją z nas. Widzisz pan przecie, że co droższe materiały i ubrania zakopują do ziemi i chowają po lasach, żebyśmy nie wywieźli do Polski. Potem, jak my stąd pójdziemy, to z powrotem pościągają do domów. Tak, panie dziku. I co my się mamy przejmować. Tyle naszego, co zjemy i wypijemy. Bić co się da, świnia nie świnia, koza nie koza, i żreć. No, za nasze zdrowie!

Opaliński, pomimo paru kieliszków wódki wewnętrznie czuł się zdrętwiały — słowa sekretarza poraziły go. Cały jego rozpęd, całą chęć do pracy w domu i we wsi. zostały nagle zahamowane, poczuł się jak człowiek, któremu woda zerwała mozolnie budowaną tamę. Zamiast odrazy poczuł do Mikuły coś w rodzaju sympatii — łączyła go przecież z nim wspólna niedola. Jeśli pójdą stąd precz, to pójdą razem. Powoli uświadamiał sobie całą klęskę podobnej możliwości. Jakże dumny był nieraz myśląc o sobie i o żonie, jako o Słowianach, którzy po raz pierwszy od kilkuset lat zwycięsko przeciwstawiają się Germanom i wypierają ich z tych ziem dalej na zachód. Mieli tu zostać na zawsze, tymczasem historia zapisze ich pobyt na tych ziemiach, jako śmieszne sekundy. Mieli tworzyć wraz z innymi Słowianami wspólny blok o swoistej kulturze, tymczasem świat nie chce ich uznać, odwraca się od nich z pogardą.

— Nalej pan jeszcze. Braknie, to przyniosę od piekarza.

Weszła Genowefa. Zarumieniona od szybkiego chodu na mrozie, promieniała oczami i uśmiechem. Stefan patrzył na nią z tajonym zachwytem.

— Ja wiedziałam, żeś ty tu jest! — zawoła radośnie. Naturalnie, popija sobie, a ja biedaczka sama siedzę na tym pustkowiu.

Stefan pomógł jej rozpiąć płaszcz i usadowił ją przy stole, podczas gdy Mikuła przyniósł z szafy trzeci kieliszek i nową butelkę wódki.

— Napijesz się? — zapytał Stefan.

— Owszem! Nawet mam ochotę. Ale gdzieś ty był całe przedpołudnie?

— Aż na końcu wsi; musiałem spisywać stan pogłowia.

— Ee... ty ciągle musisz latać po wsi. Niechby to raz kto inny zrobił.

— Co słychać w domu?

— Acha, właśnie chciałam ci powiedzieć. Jakżeś ty poszedł, może pół godziny później przyszło trzech ruskich. Z karabinami i z pepeszą. Liza od razu uciekła do stodoły, bo ona — tu zwróciła się do sekretarza — boi się ich strasznie od tego czasu, jak ją gonili po ogrodzie, to było, zdaje się, w maju. Lucy przyszła do mnie i zawołała mnie na dół.

— A nie bała się pani? — zapytał sekretarz.

— Bałam się, ale przy Niemcach musiałam udawać. że się nie boję. Nogi mi się trzęsły, ale otworzyłam drzwi i weszłam. Ja zawsze tak: jak już się bardzo boję, to się przestaję bać. Tak, jakbym zamykała oczy i leciała w przepaść. No i wiesz, weszłam do kuchni, a oni siedzą przy stole i patrzą. Z twarzy nawet bardzo przyjemni, tylko jeden miał skośne oczy i takie bulwy na policzkach. Powiedziałam im dzień dobry, a oni wstali i każdy podał mi rękę, a jeden, co umiał trochę po polsku, zapytał się, czy ja jestem hadziajką. I pomyśl sobie, proszą mnie, żebym im dała coś „pokuszać". Takem się ucieszyła, jakem to usłyszała, nie masz pojęcia!

— I coś im dała?

— Wszystko, co było gotowe! Kazałam Niemce przynieść słoniny, pasztetu, masła, chleba, a mleko było surowe, ale nie chcieli czekać aż się ugotuje.

— No i co, no i co? — dopytywał się sekretarz.

— No i nic. Zjedli, podziękowali i poszli. Aha, pytali się Paula. gdzie rękę stracił, ale on nie powiedział, że pod Stalingradem, tylko pod Mińskiem.

Stefan zaśmiał się.

— Tak, on się już teraz nie przyznaje do Stalingradu; a to od tego czasu, jak mu jakiś sowiet dał w pysk za ten Stalingrad. A powiedz no mi Gieniu, co oni tam dziś robili?

— Coś w stodole. Liza i Lucy słomę przerzucały, a Paul coś koło młockarni dłubał. A żmijka wcale się nie pokazuje, siedzi zamknięta w pokoju ze swoim Rajnardem.

Znów odezwało się pukanie do drzwi. Weszła siostra porucznika Stopki, panna Basia, która niedawno przyjechała do Ptakowic z centralnej Polski. Tęgiej budowy pełna na twarzy i czerstwa, sprawiała miłe wrażenie zasobnej życiowo doświadczonej i szczodrej gospodyni. Genowefa poznała ją w święto Trzech Króli podczas zabawy tanecznej w świetlicy — od razu przypadły sobie do serca. Spotkawszy się, zapominały o sprawach, które miały do załatwienia, musiały rozmawiać o tysiącu rzeczach. Tak też stało się i teraz. Czwarty kieliszek, który pokazał się na stole, długo pozostał nietknięty.

Tymczasem do biura przychodzili coraz to inni ludzie. Jedni po kartki żywnościowe, drudzy w celu zameldowania się, a byli i tacy, Niemcy oczywiście, którzy wskutek ogłoszenia przynosili instrumenty muzyczne: zepsute harmonie, gitary, organki.

Wreszcie o zmierzchu już, z tupotem i śmiechem weszło czterech mężczyzn: sołtys, porucznik Stopka, Kobuz i Matlakowski. Bardzo byli z czegoś uradowani, chodzili po pokoju wielkimi krokami i zacierali dłonie. Wreszcie Stopka wyciągnął z kieszeni rewolwer i położył go na stole.

(Ciąg dalszy nastąpi)

Widokówki niemieckie

HAMBURG

Hamburg, w kwietniu 1947

Hamburg, oto brzmienie, które przywodzi na myśl zgiełkowy, olbrzymi port morski, las masztów i ciężbę okrętów towarowych i osobowych, potężny hanzeatycki rozmach kupiecki, wyzyskujący wszystkie, najnowsze zdobycze przemysłu i handlu w mieście zieleni, parków, ogrodów, jezior. Dziś tylko cenne muzea i historyczne zabytki, ocalałe z burzy wojennej, świadczą o minionej wielkości, a naga rzeczywistość smutna i trzeźwa, rzuca się każdemu w oczy.

Hamburg należy do tych miast niemieckich, którym wojna najcięższe zadała rany. Kilometrami naokoło śródmieścia zalegają stosy gruzów, po których nawet poznać nie można co tu było dawniej. Lepiej uchowało się śródmieście, o wiele lepiej na przykład niż w Kolonii lub w Berlinie, ale tylko o tyle, że ten kto znał Hamburg dawniej, zdoła się w nim od biedy zorientować. Ocalały na ogół dzielnice willowe nad Alsterą i „am rothen Baum". Na pokrytych patyną kopułach i dachach starych, wytwornych domów kupieckich powiewa teraz pod tchnieniem lodowatego wiatru północno-wschodniego... flaga angielska. Ponad aleją „Helgolandzką" sterczy jak dawniej kamienny posąg Bismarcka, spoglądający na onegdajsze miasto portowe. Ale tam w dole ożywiony ruch okrętów z całego świata dawno zamarł. Tylko olbrzymie kry lodowe cisną się z łoskotem ku morzu, hamując wszelkie połączenie ze światem zewnętrznym. Oficjalna nazwa „miasto hanzeatyckie Hamburg" widnieje nadal na drogowskazach i napisach umieszczonych przez władze okupacyjne, ale nazwa ta jest teraz jedynie wspomnieniem historycznym. W tym roku dwa czynniki — węgiel i mróz opanowały, jak nigdy przed tym, życie milionów ludzi. Bo od wielu lat północne Niemcy nie zaznały mrozów tak srogich i tak długo trwających. Im dotkliwsze zimno tym większe zapotrzebowanie opału i energii elektrycznej, ale zarazem tym trudniejsze wytwarzanie i przewożenie przedmiotów koniecznie potrzebnych do utrzymania życia. Już 400 hamburskich firm zgłosiło w Urzędzie Pracy zastawienie ruchu w swoich zakładach. W ciągu tych najcięższych tygodni straszliwych mrozów koleje podziemne i tramwaje nie kursowały przez kilka godzin dziennie, około południa. Koleje podmiejskie, nie liczne zresztą, brane były przez publiczność szturmem, a kto by chciał dostać się do wagonu przez okna, narażał się na to, że mu obuwie z nóg ściągną. Z początkiem stycznia zgłoszono pierwsze przypadki zamarznięcia na śmierć. Jako następstwo mrozów mnożyły się w tempie przerażającym zachorowania na grypę i zapalenie płuc, a badania lekarskie wykazały, że wśród uboższych warstw ludności już więcej niż 1/5 choruje na gruźlicę. W okresie największych mrozów władze urządziły publiczne ogrzewalnie, ale zarządzenie to miało raczej wartość symboliczną. Pragnienie ciepła i światła usunęło na drugi plan nawet potrzebę zaspakajania głodu. Każdy człowiek odczuwa instynktownie, że łatwiej zginie z zimna niż z głodu. Ale głód jest i przybrał już formę przewlekłą. Dorośli mniej lub więcej przywykają do głodu, mimo to pierwsze rozruchy głodowe wybuchły jeszcze w styczniu, a szpitale zmuszone są przyjmować coraz więcej ludzi zachorzałych z głodu.

Pewien hamburczyk oświadczył, że w każdym niemieckim mieście istnieje ognisko „czarnego" handlu, ale w Hamburgu jest ich dziesięć. Im niższa stopa życiowa, tym lepsza gleba dla czarnej giełdy. Mimo zamknięcia bardzo wielu sklepów z powodu braku towaru, na czarnej giełdzie można nabyć wszystko, ale po cenach tak fantastycznych, że zupełnie niedostępnych dla człowieka pracującego, a tym mniej dla żyjącego z resztek oszczędności. 1 kg chleba kosztuje 25 RM, 1 kg masła 400 — 500 RM, 1 kg kawy 1,000 RM. Cena nowego ubrania męskiego odpowiada całemu rocznemu dochodowi robotnika. Do najcięższych problemów należy mieszkaniowy, a głód mieszkań wzrasta ciągle z powodu dopływu uchodźców ze wschodu i z powodu przesiedleń. Senator socjalistyczny Nevermann oświadczył niedawno, że rok 1947 będzie albo wyraźnym początkiem ruchu budowlanego, albo końcem politycznej pracy partii socjalistycznej. Główna praca ma polegać na poprawieniu mniej lub więcej uszkodzonych mieszkań. Potrzeba wielu tysięcy nowych budynków, a w planie jest budowa 150-ciu, co świadczy wymownie o tym, jak nisko spadły nadzieje w kierunku usunięcia nędzy mieszkaniowej.

Równolegle do pogorszenia położenia ogólnego biegnie wzrost przestępczości. Gazety wychodzące dwa razy na tydzień pełne są doniesień o morderstwach, rabunkach, oszustwach, kradzieżach i bijatykach. Od miesięcy banda licząca około 50 członków terroryzuje dworce kolejowe, jak dotąd bezkarnie. Coraz częściej znajduje się wśród gruzów zwłoki obrabowanych ludzi. W pierwszych dziesięciu dniach stycznia doprowadzono i ukarano 1100 złodziei węglowych. Jest to następstwo srogiej zimy. Jak można działać przeciw temu, jeśli całe stada dzieci rzucają się na tory dworców przetokowych, zatrzymują parowóz i w mgnieniu oka, kilkoro z nich wydrapuje się na wagony z węglem i zrzuca kosztowny ładunek towarzyszom czekającym na dole z workami. Rodzice i nauczyciele są wobec tego bezsilni, a może nawet patrzą na to chętnym okiem.

Największa gazeta północno-niemiecka „Hamburger Echo" pisze pod nagłówkiem „Kultura w cieniu nędzy". „Ograniczenia z czasem ustąpią, ale pozostanie zagrożenie resztek tego, co nazywano kulturą. Zagrożenie to, jako następstwo szaleńczej hitlerowskiej wojny — jest na razie natury gospodarczej. Jeżeli nam się uda przezwyciężyć je i stworzyć ludzkie warunki bytu dla wszystkich, natenczas dopiero osiągniemy ten punkt, z którego będziemy mogli skutecznie przystąpić do stworzenia szerokiej podstawy dla kultury".

Obraz Hamburga nie jest czymś wyjątkowym. Miasta niemieckie zbierają żniwo wojny...

Stete

Z twórczości artystycznej **Stanisława Konarza**

Dwa obrazy Stanisława Konarza, którego wystawa obrazów zostanie w tych dniach otwarta w Katowicach. Obrazy przedstawiają likwidację ghetta. U góry „Ostatnia droga", niżej „Ostatnia egzekucja".

Czwartki literackie w Toruniu

W życiu kulturalnym Torunia stały i wcale niepoślednim motywem stanowią „Czwartki Literackie". Obchodziły one niedawno swój jubileusz (50 czwartek) i dlatego może należy się im wzmianka.

Zainicjowane już w czerwcu 1945 „Czwartki" zaczynają swój cygański żywot w Cukierni Artystów, by po kilku etapach cukierniano-wyładować wreszcie dostojnie w Auli Uniwersytetu. Wędrówka ta zmieniła też ich charakter: pomyślane zrazu jako wieczory literackie w kawiarni, złączone ze śpiewem i muzyką — z biegiem czasu i w związku z nowym lokalem w Uniwersytecie — poważnieją, stają się nieraz po prostu — odczytami. Ewolucja ta nie leżała wcale ani w zamierzeniach inicjatorów, ani w intencjach obecnego Zarządu Klubu Literacko-Artystycznego. Spodziewamy się wciąż, że nie jest to „Czwartków" kształt ostateczny.

Tematy są różne: krążą zrazu chętnie około przeżyć wojennych, lagrowych (poezja lagrowa, książka w lagrach), równie chętnie jednak przenoszą nas ku dalekim sprawom Chopina i George Sand na Majorce, ku powieści Balzaca czy Flauberta. „Żelazny repertuar" stanowią jak zwykle klasycy: Mickiewicz, Prus, Sienkiewicz, Żeromski, Wyspiański, Kasprowicz, odświeżeni odkrywczym spojrzeniem prelegentów-profesorów literatury z Torunia czy Poznania. Nie tylko „umarłych znamy" na „Czwartkach" w Toruniu: nie zapominamy również i o żywych, z których twórczością zaznajamia Klub Literacko-Artystyczny swoich słuchaczy czy to w formie odczytów o literaturze współczesnej, czy też na wieczorach autorskich (M. Rusinka, A. Rymkiewicza, W. Szewczyka i W. Żukrowskiego).

Program „Czwartków" wiąże się wreszcie często z repertuarem teatru toruńskiego. W teatrze tym oglądamy rzeczy trudne, pasjonujące zarówno ze względu na problematykę jak i inscenizację. A na „Czwartkach" słyszą bywalcy teatru komentarze literackie czy historyczne do wystawianych równocześnie sztuk takich jak „Orfeusz" Świrszczyńskiej czy „Magia" Chestertona.

„Czwartki Literackie" udzielają wreszcie gościny innym gałęziom wiedzy humanistycznej: językoznawstwu czy socjologii. Urozmaicu to program wieczorów i rozszerza zakres tematyczny.

Publiczność „Czwartków" stanowi w ogromnym procencie najwdzięczniejszy element: młodzież szkolna czy akademicka. Liczna frekwencja młodzieży (m. in. również licea zawodowe!) i żywa reakcja na wypowiadane tam słowo świadczy, że „Czwartki" mają swój udział w życiu młodego pokolenia. (is)

Co robią Niemcy

Obrażony generał i wiele innych opowieści prawdziwych, ciekawych i niewesołych

TEODOR Plievier, pacyfistyczny pisarz niemiecki przebywający w ciągu ostatnich 12 lat na emigracji w Moskwie, napisał powieść pt. „Stalingrad", w której występuje ostro przeciwko hitlerowskim metodom wojennym. Powieść ta prócz wielu obszernych recenzyj doczekała się także krótkiej wzmianki w dzienniku hamburskim „Die Welt". Wzmiankę tą przeczytał niejaki Wolfgang Pickert, generał artylerii przeciwlotniczej i we wzmiance natrafił na cytat z powieści mówiący o tym, jak to pod Stalingradem „generał Pickert opuścił swoją 9 dywizję artylerii przeciwlotniczej". Czytający generał śmiertelnie się obraził a że powieść jest dokumentarna, więc nie było wątpliwości, że to o nim jest w tym zdaniu mowa. Nie namyślając się długo, napisał do wydawnictwa „Aufbau-Verlag" polecony list, w którym pisze: „Pan Plievier poinformowany jest fałszywie. 12 lub 13 stycznia 1943 na rozkaz gen. Paulusa odleciałem ze Stalingradu do feldmarszałka von Richthofena. Wracając nie mogłem już jednak wylądować, krążąc bezskutecznie nad ciężko ostrzeliwanym lotniskiem. Wróciłem do Richthofena, który z a k a z a ł mi powrotu. To samo powtórzył następnego dnia feldmarszałek Milch (n. b. syn żydowskiego ojca i na życzenie Goeringa, swego przyjaciela, wyparł się prawdziwego ojca podając się za nieślubne dziecko matki i jakiegoś „aryjczyka" — dop. wisz). W ten sposób moi dzielni chłopcy 9 dywizji przeciwlotniczej ostatnie 14 dni w Stalingradzie walczyli bezemnie. Prawda zatem jest taka a nie jest prawdą osąd pana Plieviera. Nie opuszczałem moich żołnierzy, rozkaz wyższych dowódców nie pozwolił mi do nich wrócić. Sprawę powyższą pozwoliłem sobie przesłać mojemu a d w o k a t o w i."

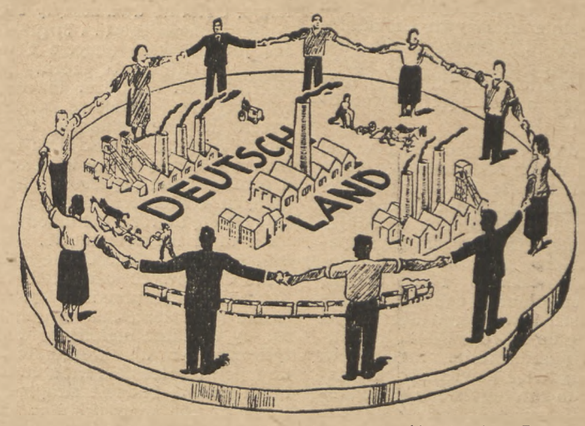

Rysunek symbolizujący jedność i niepodzielność Niemiec. Prasa niemiecka reprodukując go przytacza takie „hasło dnia": Jednolite Niemcy to obrona przed rodzimą i zagraniczną reakcją.

Obrażony generał grozi antyfaszystowskiemu pisarzowi adwokatem i sądem. W Niemczech nie wolno mówić nic złego o generałach. Ciekawy jestem, co na to powiedzą pisma niemieckie. Na razie wykpił pismo generała berliński satyryczny „Ulenspiegel". Sprawa jest symptomatyczna. Pismo obrażonego generała świadczy nie tylko o bezczelności niewytępionej dotąd całkowicie tej warstwy zbrodniarzy wojennych lecz także i o atmosferze, która do tego rodzaju wystąpień ośmiela. Jeśli w tym tempie pójdzie „odbudowa" psychiczna Niemiec, to Plievierzy będą musieli raz jeszcze udać się na emigrację.

MOGĘ wam opowiedzieć więcej takich historyjek, które, gdyby nie były prawdziwe, należeć by mogły do skarbca doskonałych anegdot aktualnych. Jedne są smutne, inne śmieszą. Oto Drezno, miasto rodzinne Ericha Kaestnera, świetnego antyhitlerowskiego kpiarza, miasto starte prawie z powierzchni przez alianckie bomby. Drezno postanowiło na swój sposób prowadzić walkę z hitleryzmem. Rozpoczęło ją m. in. od zakazu używania sprężystego „Jawohl!" (Tak jest) jako słówka militarno-nacjonalistycznego. Drezno dumne jest z tej nowości i oto na rogach ulic i w opuszczonych smętnych piwiarniach stoją policjanci i konfidenci podsłuchując i ściągając doraźne kary za wypowiedzenie „Jawohl!". Ale równocześnie w tym Dreźnie, tak dzielnie sobie poczynającym z pozostałościami hitleryzmu, na wielu gmachach pielęgnuje się wizerunki swastyk a przy odnowionym ostatnio domu przy Bülowstrasse odnowiono również znajdującą się tu na wysokości piętra reliefową swastykę.

WEDŁUG wiadomości „Nürnberger Nachrichten" do sądu, który tu niedawno 11 zbrodniarzy wojennych skazał na karę śmierci, zgłosiło się 3 Niemców, którzy ofiarowali się pójść na szubienicę zamiast 3 skazanych. Byli to młodzi studenci. Sąd ofiary nie przyjął a reakcyjna prasa hitlerowska mając okazję pochwały 3 bohaterów podciągnęła wartość tego czynu do rzędu wartości ogólnoludzkich, miłości człowieka. Jak to powiedział Nietsche?: „Gdzie jest obłęd, który musiano wam zaszczepić?".

BAWARSKIE procesy denazyfikacyjne znane już są w całej prawie Europie jako doskonałe przedstawienia komediowe. Czy wiecie jednak, w jaki sposób można tam zostać zdenazyfikowanym, zrehabilitowanym, demokratą? Tłumaczy nam to ulotka, którą w Bawarii kolportuje się od domu do domu. „Chce pan zostać zdenazyfikowany? Niech pan poda osoby (d w i e wystarczą), które pana widziały w kościele w latach 1933-45. Niech pan opisze krótko walki w pana sumieniu, jakie odbyły się po wstąpieniu pana do partii. Prosimy wymienić świadków (dwóch wystarczy) wobec których oświadczył pan, że w wojnie tej przegrają Niemcy (wypowiedź ta jednak powinna była paść raczej przed 1. 1. 1945)". W taki to łatwy sposób uzyskuje się w Bawarii absolucję. Wystarczyło pokazać się raz w kościele, mówić szeroko o jakichś walkach wewnętrznych i znaleźć świadków (wystarczy d w ó c h), przed którymi powiedziało się, że Niemcy przegrają wojnę. Nie jest to wszystko bajką, jest to gorzka dla Europy komedia, z której Niemcy śmieją się całą gębą choć przed oczyma Europy odgrywają ją z największą powagą. Berliński „Ulenspiegel" komentując ten fakt dodaje sentencjonalnie słowa Woltera: „Podług tego jest na ziemi o wiele mniej zła, niż się ogólnie uważa".

PRZED sądem wojskowym w Bielefeld, jak podaje „Volksecho für Westf. und Lippe" stanęło 5-ro Niemców oskarżonych o wciągnięcie flagi hitlerowskiej do połowy masztu w dzień po wyroku na zbrodniarzy norymberskich. Flagę wciągała na maszt 18-letnia dziewczyna, była członkini BDM. Na procesie dziewczyna ta oświadczyła: „Nie żałuję tego czynu i gdybym mogła, zawiesiłabym tę flagę chętnie na nowojorskiej statule wolności, która głosi wolność a nam przyniosła niewolę". Gazeta westfalska zachwyca się inteligencją młodej oskarżonej... Ano, każdy zachwyca się tym, czego nie posiada.

MIASTECZKO Hindelang w Allgäu szczyci się tym, że w murach jego mieszka żona „zastępcy Führera". A zaszczyt ten potrafi w odpowiedni sposób ocenić, bo pozwala żonie tego najwyższego po Hitlerze dostojnika zajmować w miejscowym hotelu całe piętro, złożone z kilkunastu pokoi aczkolwiek w mieście tym rodziny wysiedleńców ze Wschodu gnieżdżą się po trzy lub cztery w jednym pokoju.

NIC dziwnego, że wobec takich stosunków zrozumiałym staje się pismo, które jeden z Niemców skierował do angielskiego zarządu wojskowego w Fuldzie. Pisze on, czy nie mógłby wstąpić jeszcze teraz do NSDAP z ważnością wsteczną od 1 maja 1937, aby umożliwić uzyskanie posady swemu koledze, przeciwnikowi hitleryzmu, którego podania o pracę załatwiane są odmownie przez kierowników poszczególnych urzędów, niedawno zagorzałych hitlerowców a obecnie zdenazyfikowanych.

W WÜRTTEMBERDZE w Badenii zwolniono niedawno kilkunastu policjantów, którzy odmówili wspólnej służby z byłymi nazistami. 16 dalszych policjantów, którzy sympatyzowali ze zwolnionymi, ukaranych zostało wysokimi grzywnami. Prezydent tamtejszej policji oświadczył, że nie będzie tolerował na przyszłość tego rodzaju „niezgody". Wszyscy Niemcy — powiedział — są braćmi a jeśli kto był nazistą, tym większy mamy obowiązek pomocy i współczucia dla niego, gdyż jest to człowiek nieszczęśliwy, przeciwko któremu łatwo dziś występować. Demokratyczna policja zaś jest przede wszystkim poto, by bronić słabych. — Złote myśli tego prezydenta policji przekonują nas o tym, jak łatwo w Niemczech zmienić białe w czarne.

OTO podałem kilka charakterystycznych faktów z życia niemieckiego. Przemawiają one do nas wyraziściej z pewnością niż komentowanie jakichś zasadniczych problemów. Na każdym kroku widzi się Niemcy takie a szpalty dzienników niemieckich często takie fakty podają. Doskonały to przyczynek do psychologii narodu niemieckiego.

w i s z.

Listy z Warszawy

PISANIE listów jest sztuką, którą każdy z nas najlepiej zna w czasie bujnej młodości. Później, kiedy minie okres: w każdym porcie dziewczyna, umiejętność przekazywania na piśmie czułych słówek zanika stopniowo, a sama funkcja korespondowania zatraca cechy jakiejkolwiek przyjemności.

Zdarzy się jednak przeżywać niejednemu drugą młodość. Wtedy zamiłowania do rozmów na odległość za pośrednictwem ćwiartki papieru wybucha znowu z równie potężną, jak za pierwszym razem, siłą.

Zakochałem się w Śląsku — oto moja druga młodość, i oto przyczyna, dla której znalazłszy się w Warszawie, poznałem gorycz tęsknoty i nieprzepartą chęć utrzymania najbardziej możliwie ścisłej łączności ze środowiskiem, które przez dwa niemal lata było moim domem.

Byłbym szczęśliwy, gdyby pięknа adresatka, ziemia śląska, wyczuła w tych listach szczery i ciepły sentyment ich autora.

*

W WARSZAWIE pachnie wiosną. Oklepany frazes, ale prawda jednocześnie. Na symfonię wiosenną składa się wszystko: plamy słońca na chodnikach, wpół otwarte drzwi do kwiaciarni, orgia kontrastów między bladziutkim hiacyntem, a krwisto-purpurowym tulipanem, żywszy krok kobiet, ceny w oknach wystawowych, przyszyte do jedwabiów i velour chiffonów, a przede wszystkim świadomość: kwiecień.

Obowiązek normalnego sprawozdawcy nakazuje wspomnieć o intensywnym ruchu ulicznym. Bez tego stwierdzenia list straciłby wszelką wartość.

W kwietniu w Warszawie zaczyna się sezon miłości i sezon budowlany. Jeśli drugi wyda po trzech kwartałach równie obfite rezultaty jak pierwszy, BOS. będzie miał z czego być dumnym.

Gdzie nie spojrzysz — kozły świeżo upalonej cegły, wapno, sterty piasku. Niechże to się stanie jak najszybciej. Warszawa jest piękna nawet, gdy leży w ruinach, ale musi być piękna bez śladów wojny. Czy doczekają tego oczy nasze, oczy świadków bestialskiego niszczenia?

List mój jest chaotyczny i pozbawiony wiary. Nie może być inaczej, gdy się go pisze, z tęsknoty, bezpośrednio po przyjeździe. Nie było czasu wejrzeć w sprawy stolicy głębiej. Ot, po prostu — pierwszy dzień słońca, więc Leica w rękę i na krótki spacer.

Życie kulturalne Warszawy? Pierwsze obserwacje: konkurencja „Odrodzenia" i „Nowin Literackich". Konkurencja i walka o spadek po... „Wiadomościach", od których jeszcze rok temu wszyscy się bardzo gwałtownie i nieprzejednanie odżegnywali. Na starcie do biegu o palmę zwycięstwa stanęło pierwsze, z Krakowa przeniesione „Odrodzenie" i korzystając ze spóźnienia partnera zagarnęło sobie rubrykę „camera obscura". „Nowinom" została „kronika tygodniowa".

Ten prosty przykład nawrotu do tradycji jest, niezłym zresztą, potwierdzeniem wyników ankiety „twórczości" na temat: Jak oceniam literaturę dwudziestolecia. Od obrazoburstwa wracamy do jakiego takiego szacunku dla tego co było, póki było dobre.

Czy warto akurat nawiązywać i do nieudolnie zresztą naśladowanej „kroniki tygodniowej" i do mało ciekawie prowadzonej „camery", to już sprawa gustu redaktorów. „Nowiny" mają ambicje stworzenia wokół siebie zasadniczego ośrodka kulturalnego stolicy. Nie wspomina się ani słowem przy tym ani o „Odrodzeniu", ani o „Warszawie". Lekceważenie? Zresztą ambicji niech będzie jak najwięcej. Na walce konkurencyjnej tych pism skorzystać mogą przede wszystkim ich czytelnicy. Rezultat taki da się osiągnąć jedynie wówczas (warto tę przestrogę rzucić), gdy walka będzie prowadzona fair, gdy toczyć się będzie o poziom.

W tej chwili trudno powiedzieć coś konkretnego. Ze słuchaczów sądząc, nie sposób ustalić, czy rywalizacja dotyczy poziomu pism, czy też jest tylko konkurencją między Iwaszkiewiczem a Kurylukiem...

Inne zjawiska są jeszcze otoczone dla mnie mgłą oddalenia. Dotrę do nich. Wrażeniami nie omieszkam się podzielić. Jedno jest pewne: w Warszawie nie brak papieru. Zobaczcie tylko komplet, napęczniałych od ciekawych i mniej ciekawych artykułów, wydań świątecznych prasy stołecznej. Raj dla dziennikarzy — udręka dla czytelników, bo i kto to przerzucić tylko zdoła...

*

NA gwarnych ulicach Warszawy nadsłuchuję, czy mówi się tu o Śląsku?... Diablo mało. Czeka się okazji. Warszawa, trochę zakochana w sobie, roztrąbi się napuszonymi o Śląsku słowami dopiero, gdy się otwierać będzie drugi most w naszych hutach wykonany.

To źle, stolico! Źle i niełądnie. Do tej sprawy jeszcze wrócimy A w ogóle to dosyć na pierwszy raz. Trzymajcie się kupy... jak mawia Wojtek Żukrowski.

Mieczysław Markowski

»TEMPERAMENTY«

A. Cwojdzińskiego

Antoni Cwojdziński wpadł swego czasu na figlarny pomysł (nie on jeden zresztą) wykorzystywania modnych teorii naukowych dla uciechy teatralnej publiczności, a ponieważ potrafił koncept ten realizować z talentem i fantazją, nie należy się dziwić, że jego komedie (mimo wielu przeważnie kompozycyjnych zastrzeżeń) cieszyły się zasłużonym powodzeniem. I tak psychologia głębi Freuda, teoria względności Einsteina, czy teoria Kretschmera o stosunkach, zachodzących między budową człowieka a jego temperamentem — znalazły miejsce dla siebie w ramach płynącego swobodnie **bric-a-brac'u** psychicznego.

Strona naukowa tematu została naturalnie „uproszczona" albo — poco szukać określenia innego — spłycona do tego stopnia, że nic z jej naukowości nie zostało, prócz terminologii, stanowiącej zresztą również efekt komiczny. Oprócz tego taka teoria ma duże znaczenie dla umotywowania bardzo naciąganych wypadków akcji i zastępuje poniekąd tzw. **deus ex machina.** Ale czegóż się nie robi dla wywołania uśmiechu?

Bardzo by się jednak Cwojdziński zdziwił, gdyby dowiedział się, że katowicka Mała Scena wystawiła jego **„Temperamenty"** dlatego, ponieważ **„popularyzacja wiedzy jest jednym z naczelnych zadań nowej Polski"** i że publiczność **„siedząc w teatrze, będzie rozszerzać swój horyzont umysłowy".** Oj, przydałoby się to nie tylko publiczności!

Wypada jeszcze na temat **„Temperamentów"** powiedzieć, że zabawne i miłe w pomyśle wyszły spod pióra autora trochę niejednolite i miejscami przyciężkie w dosłownej realizacji. Komedia ta wymaga lekkiej ręki reżysera, a taką właśnie dla niej miał **Władysław Krzemiński,** który poczynił odpowiednie skróty (dwa razy zauważyłem to, ze względu na brak sensownego powiązania) i nie dał się przekonać co do tej „popularyzacji wiedzy", interpretując to wszystko jak komedię, a nie jak pseudo-naukowy wykład.

Oprawa była na ogół dobra i pozwoliła wylegitymować się **Marii Kościałkowskiej** w roli Stefci szlachetnym talentem. Widzieliśmy ją w piękniejszych rolach, ale dopiero zestawienie ich („Warszawianka", „Grube ryby", „Dwa teatry") z ostatnią wykazuje skalę i charakter zdolności. **Helena Chaniecka** (Hania) była uosobieniem tytułu komedii w najbardziej sugestywnym znaczeniu tego wyrazu. Romek **Stanisława Winczewskiego,** doskonale wypunktowany w przeskokach temperamentu, rozsadzał ograniczoną przestrzeń Małej Sceny. **Stefan Rydel** jako Henryk z powodzeniem przebrnął przez metamorfozę odtwarzanej postaci, co udało

„Temperamenty na Małej Scenie w Katowicach.

mu się dzięki zastosowaniu lekkiej stylizacji. **Magda Radłowska** (Olga) i **Janina Burke** (Jadzia) częściowo tylko wyzyskały dowcip ukryty w tekscie. Niewdzięczną, trudną rolę przewodnika wśród schyzotymiczno-leptosomicznej dżungli miał **Władysław Sheybal.**

Wszystko razem odbywało się w efektownym wnętrzu **Stanisława Tenerowicza,** a ilustrowane było obrazami, które naprawdę malował nie Henryk tylko **Jan Dutkiewicz.** W sumie sympatyczny wieczór na sympatycznej i bezpretensjonalnej sztuce.

Bogdan Butryńczuk

Książka Ziem Odzyskanych

Wrocław jest dzisiaj najsilniejszym ośrodkiem polskim na Ziemiach Odzyskanych, wytrzymuje nawet porównanie z wieloma ośrodkami kulturalnymi w Polsce centralnej. Nic więc dziwnego, że po „Zeszytach Wrocławskich", które tak pochlebnie oceniła Dąbrowska w „Nowinach Literackich", na półkach księgarskich pokazało się nowe pismo. Jest nim „Sobótka", nazwę biorąca od góry, która była miejscem kultu prasłowiańskiego Śląska. Pierwszy numer tego półrocznika, wydawanego przez Wrocławskie Towarzystwo Miłośników Historii, dowodzi, że z jednej strony tematy zostały dobrane tak, aby mogły zainteresować szersze grono ludzi, a z drugiej stanowią one pozycje w naszej historiografii odnośnie Śląska. Mimo, że przed wojną ukazał się już szereg polskich prac o Śląsku, a praca kontynuowana jest od dwóch lat, do zrobienia pozostało bardzo wiele. Na terenie Wrocławia, który mimo zniszczenia posiada stosunkowo nieźle zaopatrzoną bibliotekę i archiwa, podjęło się tego Wrocławskie Towarzystwo Miłośników Historii.

W pierwszym numerze „Sobótki" prof. Maleczyński omówił herb Wrocławia, który w historiografii polskiej pozostawał dotąd właściwie nie opracowany. Postawił on przy tym ciekawą hipotezę. A mianowicie na pieczęci wrocławskiej z roku 1262 widnieje herb z podwójnym orłem. Dotąd uważano herb ten za połączenie orła książęcego z symbolem św. Jana Chrzciciela, patrona katedry wrocławskiej lub za ozdobę bez znaczenia. Autor zaś uznał podwójnego orła za wyraz pretensji do panowania nad innymi ziemiami polskimi. Tak więc będzie to wspomnienie roli, jaką odgrywali Henryk Brodaty i Pobożny, gdy reprezentowali dążność zjednoczenia Polski. Mimo, że położyła temu kres bitwa pod Legnicą w r. 1241, ślady zachowały się m. in. w herbie Wrocławia.

Wiek XV uważa się zazwyczaj za okres, gdy Śląsk, choć narodowościowo daleki od zniemczenia, politycznie stał od Polski daleko. Poważne zastrzeżenia przeciw temu wysunęła dr. Maleczyńska, omawiając „Udział Śląska w zmaganiach polsko-niemieckich pierwszej połowy XV wieku". Ruch husycki pozostając ruchem religijnym, był jednocześnie ruchem narodowym o niezwykłej sile. Tym swoim charakterem nie mógł on nie oddziałać na ludność słowiańską niedawno dopiero skolonizowanego Śląska, co przyznawali nawet uczeni niemieccy przedhitlerowskiego okresu, jak np. Grünhagen. Nie brak zresztą relacyj ówczesnych, które stwierdzają, że lud łączył się wielokrotnie z husytami, gdy ci wtargnęli na Śląsk. A nawet książęta zawierają z husytami od r. 1428 wielokrotnie układy. Jeden z nich zaś, młody ks. Bolko Opolski, walczy przy ich boku przez cały czas. Jednocześnie zauważyć trzeba, że Śląsk był w dużej mierze terenem działalności husytów polskich, którzy werbowali swoje drużyny na terenie Polski. Kluczborek dzierżył długi czas Dobek Puchała, Gliwice — Zygmunt Korybutowicz, Niemczę — Piotr Polak. Toteż widzimy, że związek Śląska z Polską w okresie wojen husyckich był dość ścisły, a mimo rozluźnienia nie ustaje on i później.

O dwa wieki późniejszy jest temat szkicu profesora Czaplińskiego „Pierwszy pobyt J. Lubomirskiego na Śląsku". Lubomirski, głowa opozycji przeciw planom reform, przede wszystkim elekcji za życia króla, w okresie po najeździe szwedzkim, przygotowywał tu na Śląsku akcję, która w następstwie miała go zaprowadzić już w charakterze otwartego rebelianta na pola bitwy pod Mątwami i na ponowne wygnanie. Jeden to z najtragiczniejszych momentów historii Polski, kiedy nie pomógł gwałtowny wstrząs „potopu" do zgody na przeprowadzenie reform. Jest rzeczą niezmiernie charakterystyczną, że nawet w takim momencie nie zapomniano o planach odzyskania Śląska, które niby nić, raz pokaźniejsze, to znów niemal niewidoczne, wiją się przez całą naszą historię. Lubomirski, aby zyskać poparcie cesarza, zacytował w memoriale powiedzenie kanclerza koronnego, Prażmowskiego: „Cóż, że Polska straci Smoleńsk i Siewierz, jeśli za to zyska Śląsk i Czechy". Jak słusznie zauważa autor, powiedzenie odnośnie Czech jest dość nieprawdopodobne, natomiast plany o Śląsku są zupełnie możliwe.

Etapami przez XIII, XV i XVII wiek zbliżamy się ku czasom najnowszym. O XIX wieku mówi dr. Antoni Knot w swoich „Wrocławskich echach kultu Kościuszki" i Jadwiga Pełczyna w „Problemie łużyckim na Śląsku w połowie XIX wieku". Do XIX i XX wieku odnoszą się dane w „Polskości na cmentarzach wrocławskich". Wreszcie na zakończenie — recenzje, to dorobek polskiej myśli historycznej na Śląsku w dobie ostatniej.

Przypuszczać należy, że dalsze zeszyty przyniosą niejeden ciekawy artykuł, a zielony zeszyt ze św. Janem Chrzcicielem na okładce znajdzie się w rękach każdego, kogo interesuje przeszłość Ziem Zachodnich.

Adam Galos.

Materiały farbuj tylko barwnikiem

»ORION«

bo jest gwarantowany i daje piękne kolory. **Składnica Fabryczna Katowice, ul. Starowiejska nr. 3,** telefon nr 354-64. (20)

Wśród czasopism

W zakresie polskiej problematyki zachodniej zarysowały się w ostatnim czasie szczególnie wyraźnie i nabrały specjalnie aktualnych akcentów dwa zagadnienia: pierwsze to kwestia współpracy i współżycia z Czechosłowacją, drugie to sprawa naszego sąsiada niemieckiego w okresie obrad nad ustaleniem zasad przyszłego pokoju. To drugie zagadnienie nie schodzi z widnokręgów naszych szczególnie intensywnych zainteresowań od pierwszych dni niepodległości, ale w świetle obrad moskiewskich nabiera nowej, można rzec niepokojącej nawet ostrości.

Obydwa te zagadnienia w tej swojej nowej fazie znalazły odpowiednie odbicie w prasie periodycznej. Zacznijmy od pierwszego. W wielu czasopismach znajdujemy mniejszym lub większym powodzeniem ukoronowane usiłowania poważnego i na dłuższą metę obliczonego zainteresowania się Czechosłowacją. Widoczne jest dążenie do nawiązywania kontaktów i poszukiwanie materiałów. Możemy więc powiedzieć, że zjawisko to znajduje się w początkowej fazie organizowania się. Nie mniej już widoczne są niektóre interesujące i sympatyczne rezultaty. I tak np. krakowski **Dziennik Literacki** (dodatek **Dziennika Polskiego)** już w drugim swoim kolejnym numerze (14—21 III) przyniósł cenny materiał z tego zakresu. Stanowi go zwięzły, nawet zbyt zwięzły ale pochodzący z bezpośredniego źródła artykuł **Józefa Knapa: O współczesnej literaturze czeskiej,** mający nie tylko informacyjny charakter, lecz usiłujący także sprecyzować nurtującą współczesne piśmiennictwo czeskie problematykę, wykazać, w czym leży jego siła i słabość, w czym ono zadowala a w czym pobudza do krytycznych refleksji. Charakterystyczne jest w tym artykule stwierdzenie stagnacji panującej po wojnie w dramaturgii czeskiej, choć nie przekonują żale o nieodczuciu przez pisarzy czeskich dynamiki współczesności. Autor przy omawianiu prozy silniejszy nacisk położył na rozwoj powieści historycznej oraz powieści o tematyce wiejskiej, przy czym ta druga dziedzina jest mu osobiście bliższa jako pisarzowi. W mniejszym stopniu uwzględnił współczesną powieść mieszczańską, liczną i stojącą na poziomie doskonałej beletrystyki, w której też może należałoby szukać przez analizę panującej w niej atmosfery pewnych danych tłumaczących nie wyczuwanie „dynamiki teraźniejszości". Poza tym ten sam numer Dziennika Literackiego przynosi przekład **Jerz. Wolkera Ballady o dziecku nie narodzonym pióra Pawła Hulki-Laskowskiego** z notatką o samym autorze, przekład fragmentu książki **Karola Czapka „Skradziony kaktus"** (dokonany przez **Artura Marynę Swinarskiego)** oraz opatrzoną czterema zdjęciami notatkę o praskim przedstawieniu komedii tegoż pisarza **„Rabuś".** Jak na początek dużo i nieźle. Dalszy ciąg to **Mickiewicz w przekładach czeskich Aleksandra Semkowicza** (nr 3).

Chciałoby się tę pierwszą próbę **Dziennika Literackiego,** która ma już jednak pewne tradycje w polskim czasopiśmiennictwie literackim (vide np. **Kamena)** uważać za jeden z przejawów naszych kulturalnych a ściślej literackich zainteresowań Czechosłowacją z chęcią budowania na tych bez wątpienia solidnych i istotnych podstawach wzajemnego współżycia i zrozumienia.

Inaczej do tego samego zagadnienia podchodzi poznański **Przegląd Zachodni,** organ **Instytutu Zachodniego.** Redakcja Przeglądu zapowiedziała wprowadzenie na łamy tego pisma zagadnień polsko-czeskich i już zapowiedź realizuje. Ostatnie dwa zeszyty **Przeglądu Zachodniego** (2 i 3) przynoszą już pierwsze pozycje z tego zakresu. Naprzód zabrał głos Czech, **prof. dr. Józef Macuszek** w artykule **Dziejowe dążenia Czech do zespolenia z Polską** (nr 2). Artykuł jest skrótem fragmentu większej pracy książkowej a ponieważ nie poprzestaje na ogólnych stwierdzeniach, lecz posługuje się szeroko dokumentacją, musi mieć niedociągnięcia. Przynosi natomiast dużo cennego materiału i nowych oświetleń. Autora interesuje przede wszystkim dalsza przeszłość. Jest w tym ten cel, by wykazać nieścisłość w dotychczasowym ujmowaniu stosunków polsko-czeskich, których nieliczni zresztą badacze skupiali uwagę przede wszystkim na czasach nowszych, przeważnie na wieku XIX, określając często czeski polonofilizm jako zjawisko o charakterze literackim. Prof. Macuszek wskazuje na jego wyraźnie polityczny charakter i fakt ten stwierdza w polityce czeskiej wobec Polski znacznie wcześniej, akcentując przede wszystkim jego fazę przy końcu w. XV oraz w stuleciach XVI i XVII. Przytaczane fragmenty dokumentów mają swoją niedwuznaczną wymowę i zasługują na uwagę. Dalsze dwie czeskie pozycje **Przeglądu Zachodniego** to sprawozdania z książek opracowane przez **Michała Straszewskiego,** który w nr 2 omawia na podstawie publikacji czeskiej technikę i osiągnięcia czeskiej polityki osiedleńczej (niezwykle ciekawe założenia i dane) oraz daje obszerne omówienie książki **Prezydenta Edwarda Benesza „Sześć lat wygnania i druga wojna światowa",** domagając się przełożenia tej publikacji na język polski. Omówieniem tym rozpoczyna zresztą rzecz większą, obejmującą sprawozdania z czeskiej literatury emigracyjnej.

To samo pismo zajmuje też niezmiennie pierwsze miejsce w omawianiu spraw Ziem Odzyskanych i zagadnień polsko-niemieckich. Rozpoczęło ostatnio serię sprawozdań z osiągnięć naszych na Ziemiach Odzyskanych, przynosząc materiał dobrze uporządkowany i wiarygodny (bilans osiągnięć w zakresie zaludnienia, oświaty, dorobek Prus Wschodnich, Ziemi Lubuskiej). Na tle nie wysoko stojącej publicystyki na te tematy oraz daleko posuniętej powierzchowności w ujmowaniu wielu spraw te obiektywne relacje ludzi blisko tych rzeczy stojących są zjawiskiem pożytecznym i wartym poznania. Mają one też swój aspekt wobec ostatniej dyskusji w Moskwie, aspekt którego nie wahałbym się nazwać aspektem faktów dokonanych i nieodwracalnych. Może brzydko słowa te brzmią, ale możemy sobie na nie pozwolić. Stanowią one określenie na nasz wielki, nie we wszystkim zadawalający, ale konkretny i mający swoją pocieszającą wymowę wysiłek. Wystarczy, jeśli mówią o tym, że w przyszłości stać nas będzie na jeszcze więcej i że tego po sobie oczekujemy.

Mapa przemysłowa Ziem Odzyskanych

Ziemie Odzyskane to bogactwo ziemi i ludzi. Ojczyzna zniszczona tutaj znajduje możliwości swej odbudowy gospodarczej. Możliwości te uruchamia dłoń robotnika polskiego.

Omawiane tutaj dwa zeszyty **Przeglądu Zachodniego** w inny jeszcze sposób nawiązują do debat moskiewskich. Dają w swej treści aktualne i wnikliwe oświetlenia samej strony polityczno-prawnej opracowywanego trak tatu z Niemcami **(Antoni Klafkowski),** analizują stosunek wielkich mocarstw do Niemiec na przestrzeni ostatnich lat kilkudziesięciu i wyciągają z tej analizy wnioski dla sytuacji dzisiejszej, oświetlają z różnych stron zagadnienie nowej granicy polsko-niemieckiej (geograficzno-polityczny punkt widzenia stawia A. Zierhoffer, punkt obronny J. Rafalski). Wszystkie te artykuły uderzają poważnym, nie tuzinkowym podejściem do sprawy. Tytuły ich są może mało wdzięczne dla czytelnika, który przejadł się już powszednią propagandą zagadnień Ziem Odzyskanych, ale właśnie tym przejedzonym je polecam jako antidotum na niestrawność. Czyta się je z zadowoleniem i zaufaniem. Zresztą niektóre wypowiedzi w Moskwie na temat naszej granicy zachodniej budzą już same apetyt na nową taką lekturę, której potrzeby dzienniki nie zaspokoją.

Na jeszcze jedną wartość **Przeglądu Zachodniego** należy zwrócić uwagę przy tej sposobności. Wartość tę stanowi bogaty i na prawdę doskonały **dział recenzyjny.** Omówienia wydawnictw są obszerne i gruntowne, przy czym wykazują duży zasięg. W omawianych dwóch zeszytach znajdujemy sprawozdania z książek ambasadorów Noela i Ponceta, omówienia licznych szwajcarskich publikacji na tematy Niemiec (pochodzących głównie spod pióra Niemców), recenzję książki płk. E. Schumachera kreślącej dzieje drugiej wojny światowej itd. W **Przeglądzie** też doczekała się pięknego omówienia książka Wincentego Ogrodzińskiego „Dzieje piśmiennictwa śląskiego" **(prof. Roman Pollak),** która nie została dotychczas zrecenzowana w prasie śląskiej, a którą „zawodowy" recenzent „Odrodzenia" p. Stefan Papée zbył dziesięcioma wierszami wyssanymi z palca, bo nie wyciągniętymi z lektury. Ten dział **Przeglądu Zachodniego** jest naprawdę godny uznania jako stojący na wysokim poziomie, co stanowi niestety wyjątek w powojennym czasopiśmiennictwie polskim. (ki)

Prapremiera w Sosnowcu

Aleksander Baumgardten i Józef Prutkowski: OSTATNIA KRAKSA, opowiadanie sceniczne w 3 rozdziałach, reżyseria Tadeusza Przystawskiego, dekoracje Zygmunta Łopuszyńskiego. Premiera 12. IV. 1947.

Ze sztuką sceniczną jest tak jak z książką. Są książki, które zdobywają powodzenie, autorowi zyskują sławę i pozostają w literaturze. Są takie, które spełniając dwa pierwsze warunki, nie dostępują zaszczytu trwałej pamięci. I są wreszcie takie, które przemijają w ogóle tak jakby ich nigdy nie było. Te same losy są udziałem utworów pisanych dla sceny. Łatwo to sprawdzić przeglądając tomy sprawozdań teatralnych Boy'a, Lorentowicza czy Rabskiego. Dziś nie grywa się np. niemal zupełnie sztuk tak popularnego niegdyś komediopisarza jak Stefan Krzywoszewski, nikt nie myśli też o wznowieniach komedyj Marii Jasnorzewskiej. Nie ulega wątpliwości, że do kategorii tych krótkotrwałych utworów scenicznych zaliczyć trzeba i sztukę spółki autorskiej Aleksander Baumgardten i Józef Prutkowski, wystawioną po raz pierwszy w Teatrze Miejskim w Sosnowcu. Przy tym jej ranga literacka nie dorównuje dwom wymienionym przykładom.

A szkoda. Bo obydwaj autorzy to literaci o poważniejszych możliwościach, a w każdym razie o możliwościach znacznie wyższych niż te, których dowód stanowi ta sztuka. Szkoda po drugie dlatego, że akt drugi tego „opowiadania" zaczyna być w pewnym momencie interesujący, zaczyna przemawiać do widza problemem, który został postawiony, sprawą, w imię której sztuka została napisana.

Co innego jeszcze w tym pomyśle frapuje: próba ukazania, jak wojna, która zabija i niszczy, tworzy zarazem nowe wartości, jak zawiązuje pomiędzy ludźmi związki, które przedłużone w czas pokoju, mogą być w swoich skutkach niezmiernie doniosłe dla spraw postępu, dla rozwoju stosunków między ludźmi, jak walka ludzi różnych ras o jedną wspólną światu ideę może stworzyć możliwości wyrównania tych różnic, które ludzi tych dotychczas dzieliły.

To jest dziedzina spraw w sztuce, do których nie można mieć zastrzeżeń, które stanowią jej stronę pozytywną. Ale jest dziedzina druga, dziedzina wykonania przede wszystkim autorskiego. Od pomysłu do wykonania droga bardzo daleka. I na tej drodze zaczynają się nasze sprzeciwy, których ideowe założenie sztuki przezwyciężyć nie zdoła. Nie będzie przesady, jeśli po prostu powiem, że sztuka została napisana byle jak, nie poważnie, bez głębszego poczucia odpowiedzialności, jakie winien mieć pisarz za swoje słowo. Jej poziom literacki w dialogach i sytuacjach jest miejscami po prostu żenujący. Wydaje się, że autorowie uznali wszystko za dobre, co atrament na pióro przyniesie, i nie znaleźli do swego utworu krytycznego dystansu. Powinien był ich przed tym ostrzec fakt pierwszego wspólnego niepowodzenia, jakim była książeczka pt. „Szukamy pana H.".

Konkretnie sztuce Baumgardtena i Prutkowskiego zarzucić należy: martwotę postaci, które nie żyją, lecz tylko gadają z sensem lub często bez (exemplum Robert Stranford), nikłość akcji i zdecydowanie słabą budowę sceniczną, nudny i rozwlekły dialog utrzymany w stylu felietonowym, stare i niewybredne dowcipy (których koroną jest opowieść o wachlarzu), szytą grubą, szarą nicią tendencję satyryczną niektórych scen. Poza tym są i głębsze niekonsekwencje, z których jako jedną z poważniejszych wyliczyłbym rozwój i zerwanie stosunku Annie do Hindusa Chandry. Druga niekonsekwencja to kierownik handlowy faktorii, będący nie tylko zdecydowanym alkoholikiem, ale równocześnie jeszcze bardziej zdecydowanym idiotą. Dżentelmena, który tak się zachowuje i opowiada tego rodzaju kawały, wyrzucono by na zbity łeb po dwóch minutach z każdego, nie tylko angielskiego towarzystwa, nie mówiąc już o tym, że zostałby w pierwszym rzędzie wyrzucony ze służby przy mającej w sztuce miejsce inspekcji. Szereg scen przyfastrygowano do akcji w sposób jak najbardziej prowizoryczny (robotnicy, zaklinanie węża, bridż itd.). Mają one wraz z historią o wachlarzu jeden chyba tylko cel — przedłużenie czasu trwania widowiska.

W tych warunkach trudno się dziwić, że realizacja sceniczna sztuki musiała pozostawiać wiele do życzenia. Z tej sztuki trudno było coś zrobić. Szczupła obsada pozwoliła teatrowi sosnowieckiemu na wysunięcie lepszych aktorów, których stać na to, by zagrali jeśli nie zupełnie dobrze, to przynajmniej poprawnie. Wszystkich ich z wyjątkiem p. Orłowskiego mieliśmy już sposobność oglądać w rolach, które niewiele pozostawiały do życzenia. Tutaj natomiast skazani zostali na wypowiadanie swych kwestii i oczekiwania na moment, kiedy skoń czy partner. Grać nie mogli. Usiłował to robić na większą skalę zresztą reżyser spektaklu p. *Tadeusz Przystawski,* który ze swojej roli wydobył jeszcze najwięcej przekonywujących momentów. Miało się jednak wrażenie, że tekst stale opiera się na jego aktorskiej i reżyserskiej inwencji. P. *Irena Żuchowicz* też grała swą rolę bez przekonania, a w samym zakończeniu wypadła zupełnie blado. Nadużywała też wyraźnie płynnych, posuwistych obrotów, obliczonych na mizernej wartości efekt. P. *Marian Mariański* z trudem wypowiadał swoje kwestie, pogłębiając braki dialogu. O p. *Stanisławie Kruzerze* trudno coś powiedzieć. Stawał na baczność i śpiewał, bo tak chcieli autorzy. P. *Eugeniusz Orłowski* w bardzo niewdzięcznej roli stosował swoją zbyt impulsywną gestykulację, której absolutnie powinien się wystrzegać. Po prostu za dużo gra rękami, nogami i całym ciałem, za mało ma w tych ruchach umiaru i skoordynowania. To są pretensje ogólne, bo zresztą tej roli szczerze mu współczuję. P. *Zygmunt Łopuszyński* jako dekorator pokazał zawstydzającą tandetę egzotyczną, która podobno nawet się podobała.

Nie wiem, czy autorzy mieli przed premierową tremę. Ja w każdym razie jako recenzent ją miałem. Bo to i koledzy, i przyjaciele, i teatr zdradzający ambicję ryzykowania nowych sztuk... Ale trudno. Scena to wielki i bardzo złośliwy instrument. Wyjaskrawi każde niedociągnięcie. I przez to wymaga respektu i szacunku.

Ponieważ sztuka w pewnej mierze dotyczy lotników, na koniec kilka rad: koledzy autorzy, start i lądowanie zawsze pod wiatr, lot należy prowadzić zawsze równo, nie dać samolotowi przepaść ani na prawe, ani na lewe skrzydło, wiraże zawsze brać głęboko. Wtedy dopiero ma się pełną przyjemność i rozkosz.

Zdzisław Hierowski.

Komunikat

Wystawa Plastycznej Sztuki Samorodnej w Katowicach w czerwcu br.

W celu ukazania społeczeństwu dorobku tych wszystkich artystów-amatorów, którym warunki życia uniemożliwiły zawodową pracę artystyczną, *Wojew. Rada Kultury w Katowicach organizuje specjalną Wystawę Plastyczną Sztuki Samorodnej.* Wystawa odbędzie się w ramach ogólnopolskiego *Tygodnia Kultury* w czerwcu br.

Jak wykazały doświadczenia, tego rodzaju pokazy dają niespodziewane, a często rewelacyjne wyniki. Ze względu na brak odpowiednich organizacji czy związku, osiągnięcia plastyków - amatorów znane są tylko fragmentarycznie, ale istnieją dane, że są one niepoślednie.

Przegląd prac artystów-amatorów stanie się ciekawym i cennym materiałem do badań, a jednocześnie da *możność przyjścia z pomocą i kształcenia tych,* którzy na nie zasługują. I to jest najistotniejszy sens wystawy.

Dlatego W. R. K. zwraca się z apelem do wszystkich plastyków-amatorów naszego województwa, malarzy, rzeźbiarzy, grafików, drzeworytników itp. o składanie swych prac w biurze Wojewódzkiej Rady Kultury, Katowice, ulica Warszawska 37 w terminie od dnia 15 kwietnia do dnia 1 czerwca br. w godzinach od 9 do 14 codziennie.

Prace powinny być opatrzone kartką z następującymi danymi: nazwisko, imię, wiek, adres, zawód, wykształcenie.

Najlepsze prace zostaną nagrodzone. W skład jury wejdą przedstawiciele Związku Zawod. Polsk. Art. Plast., S. A. R. P-u i organizacji społecznych.

Równocześnie W. R. K. zwraca się do wszystkich organizacji, instytucji, związków itp. z prośbą, by wiadomość o powyższej wystawie podali do wiadomości swym członkom, pracownikom itp., zachęcając ich do wzięcia w niej udziału.

Tylko zbiorowym wysiłkiem Wystawa stać się może pełnym pokazem dorobku sztuki samorodnej i osiągnie swój cel. *(nad)*

Bibliotekarz górników

Bibliotekarz polski na Śląsku był zawsze jednym z nauczycieli polskości. On uczył wieś lub robotników smaku literackiego, historii literatury polskiej, kierował lekturą młodzieży, wyjaśniał trudniejsze książki. O ile w czasach przed pierwszą wielką wojną rozdawnictwem książek i lektury zajmowali się doraźnie nauczyciele i księża, o tyle później wykształcił się tu typ zawodowego bibliotekarza.

Dużo oni zrobili dla polskości na Śląsku. W służbie książce polskiej, często i w nędzy materialnej, przetrwali długie lata. Nie sposób wszystkich wymieniać a nikt jeszcze nie napisał historii bibliotekarstwa polskiego na Śląsku, choć jest to historia dążenia ku Polsce. Czcząc jednego z nich pragniemy uczcić wszystkich, którzy książkę polską podawali do czytania chłopom i górnikom śląskim, młodzieży i inteligencji, na Opolszczyźnie i w Śląsku Górnym.

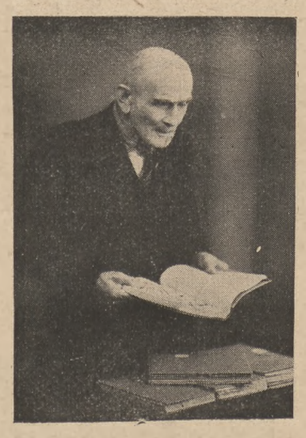

Stanisław Zawadzki jest jednym z nich. W tych dniach obchodził 25-lecie swojej pracy bibliotekarskiej. Będąc z początku bibliotekarzem TCL a później połączonych bibliotek „Naszej Czytelni" i TCL w jednej z miejscowości górniczych w powiecie rybnickim wychował dwa pokolenia w miłości do książki polskiej, niósł po pracy górnikom najlepszą i najtrwalszą rozrywkę. 1 września 1939 roku żołnierze niemieccy w miejscowości tej znaleźli się już o 5 rano. Zaskoczony bibliotekarz nie zdążył ukryć swoich książek, których ilość była już bardzo pokaźna. Musiał się przyglądać jak je wywożono na śmieci i do fabryk papieru. Teraz bibliotekę swoją organizuje na nowo. Martwi się, że posiada niewiele książek. Książki nie mają czasu odpocząć w szafie, jeszcze przy stoliku z katalogiem wędrują z jednej spracowanej ręki do drugiej. Górnicy czytają łapczywie i dopytują się o nowości.

Wielu takich bibliotekarzy, sędziwych i upartych, odbudowuje biblioteki publiczne na Śląsku, głosi sponiewieraną miłość do książki polskiej. Wspomnijmy ich od czasu do czasu, bo praca ich jest ofiarna.

wisz.

Korespondencja

O recenzencie

Do Redakcji Tygodnika „Odra".

W numerze 14-15 „Odry" z dnia 6 kwietnia br. została zamieszczona korespondencja Przemysłu Arsenowego w Złotym Stoku, z której czytelnik może nabrać niesłusznego przekonania, że wydawnictwo Instytutu Śląskiego pt.: „Złoża surowców mineralnych na Dolnym Śląsku" zawiera błędne informacje. Chodzi konkretnie o twierdzenie zawarte jakoby w tym wydawnictwie, że kopalnia rud arsenowych w Złotym Stoku jest nieczynna.

Dyrekcja Instytutu Śląskiego jest zmuszona stwierdzić, że autor wspomnianego wydawnictwa, profesor Politechniki Wrocławskiej i wybitny geolog dr Józef Zwierzycki, wiadomości takiej w swej pracy wcale nie podaje. Jest ona nie wiadomo skąd zaczerpniętym wymysłem recenzenta, który omawiał to wydawnictwo w numerze 67 „Odry" z dnia 9 marca br. Dyrekcja Instytutu Śląskiego w imię obrony poziomu naukowego swoich wydawnictw prosi o zamieszczenie niniejszego sprostowania w jednym z najbliższych numerów „Odry".

Dr Antoni Wrzosek,
wicedyrektor Inst. Śląskiego.

Geografia historyczna

Do Redakcji Tygodnika „Odra".

Pozwalam sobie przesłać Panom następujący cytat wzmianki, jaka zwróciła mają uwagę w trakcie czytania tygodnika „Transport". Nr 5, z 31 stycznia 1947, wydawanego w języku niemieckim i francuskim w Bazylei.

W rubryce zatytułowanej „De Bureau à bureau" czytamy:

„La maison Rud. Christ. Gribel à Stettin a ouvert une succursale à Lübeck sous le nom de Rud. Christ. Gribel. Zweigniederlassung Lübeck.

Avant la guerre mondiale, cette maison était un des plus grands armements de la Baltique. Elle s'occupait du transport des passagers et des marchandises entre Stettin et les ports allemands et baltes. *L'amien siège principel à Stettin SUBSISTE ENCORE comme succursale.*

La signature de MM: W. Trittelwitz, W. Bensemann, R. Wollin, F. Wilke et H. Th. Lieckfeld est éteinte."

Powyższa wzmianka typowa dla ignorancji w sprawach tyczących stosunków na Ziemiach Odzyskanych, a w szczególności w Szczecinie, pozwala przypuszczać, że nadal panowie o dźwięcznych nazwiskach Trittelwitz, Bensemann & Co. prowadzą swe prosperujące interesy dla dobra Vaterlandu w... Szczecinie w r. 1947!

Zb. *Byszewski* (Gdynia).

DO CZŁONKÓW P. E. N. CLUBU

Zarząd Polskiego Klubu Literackiego P. E. N. prosi wszystkich przedwojennych członków P. E. N. Clubu o zgłoszenie swoich adresów najpóźniej do dnia 20 kwietnia na adres korespondencyjny: Polski Klub Literacki P. E. N., Lublin, Al. Racławickie 14, m. 59.

Prezes (—) *Jan Parandowski.*

Szczecińska korespondencja teatralna

Szanowny Panie Redaktorze!

Przyzwyczajona byłam od dawna, bo jeszcze od czasów śp. Dulskich, do tego że zarzucano mi „brud moralny" i „zgniłą atmosferę" w moich utworach... Ale były to czasy „kurzych mózgów, nikczemności mieszczańskiej i pseudomoralności zawodowych stróżów moralności", jak mawiał illo tempore Wiluś Feldman. Spałam więc spokojnie w grobie, widząc, że w Polsce odrodzonej gra się wszędzie moje sztuki, a ludziska bawią się przyglądając się moim nieco tylko przyblakłym fotografiom scenicznym, w których piętnowałam maski głupoty i podłości różnych Daumów, czy też damulek z komitetów „podnoszenia" upadłych moralnie służących i pań Maliczewskich. Błogi mój sen przerwał jednak „Sąd nad Przeprowadzką" urządzony w Szczecinie, w którym oskarżono o „amoralność" wielkiego pisarza katolickiego, Rostworowskiego. Z pewnym więc niepokojem wstałam z grobu i wystawiłam w Szczecinie moją sztukę „Ich czworo". Dostałam jednak za swoje, gdyż nazwano ten dramat ludzi głupich *„najgorszą zgnilizną moralną".* Postanowiłam więc zrezygnować ze Szczecina i wyjechałam m. in. do Krakowa, aby wystawić tam „Pannę Maliczewską". Odetchnęłam z pewną ulgą, gdyż przeczytałam w „Trybunie Robotniczej" (nr 91), że jestem „nie tylko utalentowaną pisarką, ale wielką i wciąż jeszcze niedocenioną czyścicielką małego ludzkiego świństwa, tępicielką lęgnącego się w duszach ludzkich robactwa. Sztuki jej (tzn. moje) jako *czynnik umoralniający nie powinny nigdy schodzić z repertuarów teatralnych".* Tak napisała o mnie sympatyczna Madzia Samozwaniec w organie, reprezentującym nowoczesną myśl społeczną. Ten pochlebny sąd skorcił mnie i — o naiwności kobieca! — postanowiłam wystawić znowu tę samą sztukę w „Komedii Muzycznej" w Szczecinie. Wiedząc jednak, że w Szczecinie jest pewien wpływowy i znający się na sztuce człowiek, redagujący gazetkę ścienną pt. „Głos Szczecina", namówiłam staruszka Moliera, aby i on wystawił coś ze swej starzyzny w Szczecinie. Staruszek się trochę wahał, ale jak to cudzoziemiec — zarozumiały i pewny francuskiego swego dowcipu — wystawił w „Komedii Muzycznej" swego „Męża pognębionego" (Grzegorz Dandin). Nie byłabym złośliwą babą, żeby nie pomyśleć w skrytości ducha, że jak stary trefniś dostanie po palcach, to nawet dyskwalifikująca mnie recenzja „Głosu Szczecina" nie będzie tak straszna i jakoś w cieniu jego sławy przemknę się szczęśliwie ze Szczecina do Świnoujścia.

Niestety, niestety, kochany panie redaktorze! Przypuszczenia nie tylko się spełniły, ale przeszły moją dosyć przecież bujną fantazję. Zostaliśmy oboje z Molierem tak zdruzgotani, że ogarnia mnie palący wstyd, a „Głos Szczecina" wpędził mnie spowrotem do grobu. Już chyba z niego nie wyjdę. Cóż bowiem nieszczęsna pocznę, skoro napisano o mnie w ten sposób („Głos Szczecina", kwiecień 1947): „Słusznie przyrównać można tę sztukę (niby „Pannę Maliczewską") do sądzonej niedawno „Przeprowadzki". Podobnie *duszna, zgniła atmosfera, podobny brud moralny, podobna beznadziejność".* Osądziwszy czarno na białym, że moja sztuka „wywiera *zdecydowanie destrukcyjny wpływ na widza"* zakonkludował wielki recenzent, że *„Ministerstwo Kultury i Sztuki powinno zabronić wystawiania „Panny Maliczewskiej",* gdyż jest to... *„beznadziejna, pesymistyczna szmira".* I jak tu spać spokojnie w grobie, panie redaktorze, jak? A już zupełnie dobił mnie drugi recenzent ukrywający się pod pseudonimem pani L. W. w tym samym „Głosie Szczecina" pisząc — *„Nie jest wybaczalne wystawienie sztuki Zapolskiej w obecnym czasie. Powiedziałabym nawet, że nawet w okresie, gdy żyła Zapolska, sztuka jej nie miała usprawiedliwienia".* Jakże strasznie pomylił się Wiluś Feldman! Dobrze że już nie żyje i że redaktor „Głosu Szczecina" nie czyta jego „Współczesnej literatury polskiej". Siła złego na jednego. Dwóch recenzentów pod pseudonimami w jednej gazecie to za dużo dla mnie. Wiem już, że sztuka moja to szmira i nie miała usprawiedliwienia nawet wówczas, gdy ją wystawiałam w okresie panującej „dulszczyzny". A któż może o tym lepiej wiedzieć, jak nie „Głos Szczecina" wydawany pod redakcją p. *Edmunda Grzybowskiego,* któż? Któż, jak nie naczelnik Wojewódzkiego Urzędu Informacji i Propagandy. Przecież państwo nie dawałoby po *60.000 zł* na drukowanie każdorazowego numeru „Głosu Szczecina"!

Dlaczego jeszcze zipię, dlaczego odzywam się zza grobu, zapyta mnie pan redaktor. Bo zdyskwalifikowano nie tylko mnie, ale także *Moliera* i to w tak straszny sposób, że w cieniu jego pogromu jakoś nie wyglądam na ostatnią ofiarę i nieudolną pisarkę. Bo jeżeli moja sztuka jest „szmirą", to komedia Moliera pt. „Mąż pognębiony" jest, według „Głosu Szczecina"... *„niemożliwie nudną piłą".*

Przy „pile" ujdzie jakoś „szmira", więc nie ze wszystkim jestem stracona. Biedny Molier! Nielitościwy „Głos Szczecina" napisał o jego sztuce dosłownie że jego sztuka: „1. nie posiada prawie *żadnej problematyki społecznej,* 2. nie ma tam *żadnej interesującej akcji,* 3. *brak jakichkolwiek elementów zdrowego humoru".*

Jakie dobre miałam przeczucie, zapraszając Moliera do Szczecina! Niech się starzec, pozbawiony jakichkolwiek elementów humoru dowie w Szczecinie, jak należy pisać sztuki! Bo recenzenci, ukrywający się, mimo powszechnej dekonspiracji, wynikającej z amnestii, pod *czterema pseudonimami* G. M. — M. P. — L. W. — Z. P. — udzielili nam jednocześnie cennych wskazówek, co powinna dzisiaj zawierać dobra sztuka. Oto powinna, według wskazówek tego *Światowida, o czterech pseudonimach i jednej mądrej głowce: „tryskać na scenie życiem".* Chwała Bogu, że już wiem i odtąd dzięki p. Grzybowskiemu, red. „Głosu Szczecina" będę tryskała, gdzie się tylko uda. Nawet w Szczecinie i nawet na „Głos Szczecina".

Łączę wyrazy uszanowania
Gabriela Zapolska vel Szmira.

P. S. Towarzystwo Polsko-Francuskie w Szczecinie dowiedziawszy się z „Głosu Szczecina", że jestem pozbawiony jakichkolwiek elementów humoru, wykluczyło mnie ze swego grona. Uznając słuszność tej decyzji wyjeżdżam ze Szczecina na zawsze, a nazwę mojej sztuki pt. „Mąż pognębiony" zamieniam odtąd na „Molier pognębiony" i dedykuję ją p. Ed. Grzybowskiemu.

Molier vel Piła.

Wydaje Sp. Wyd. „Czytelnik". Redaktor naczelny: WILHELM SZEWCZYK. Komitet Redakcyjny: Zespół „Odry". Redakcja: Katowice, 3 Maja 36a, II ptr. Telefon 325-58. Rękopisów nie zamówionych Redakcja nie zwraca. Administracja: Katowice, 3 Maja 12. Wrocław, ul. Kościuszki 49. Tel. 253. — Prenumerata mies: 60 zł, kwartalna 240 zł. Konto PKO III 4960. Ogłoszenia przyjmuje Sp. Wyd. „Czytelnik", 3 Maja 12. Złożono i odbito w drukarni nr 9 Sp. Wyd. „Czytelnik", Katowice, ul. 3 Maja 12.
R 30124